

Tygodnik Polski

23, rue Taitbout, PARIS, 9^e

CENA 1 F.
PRIX 9 F. B.

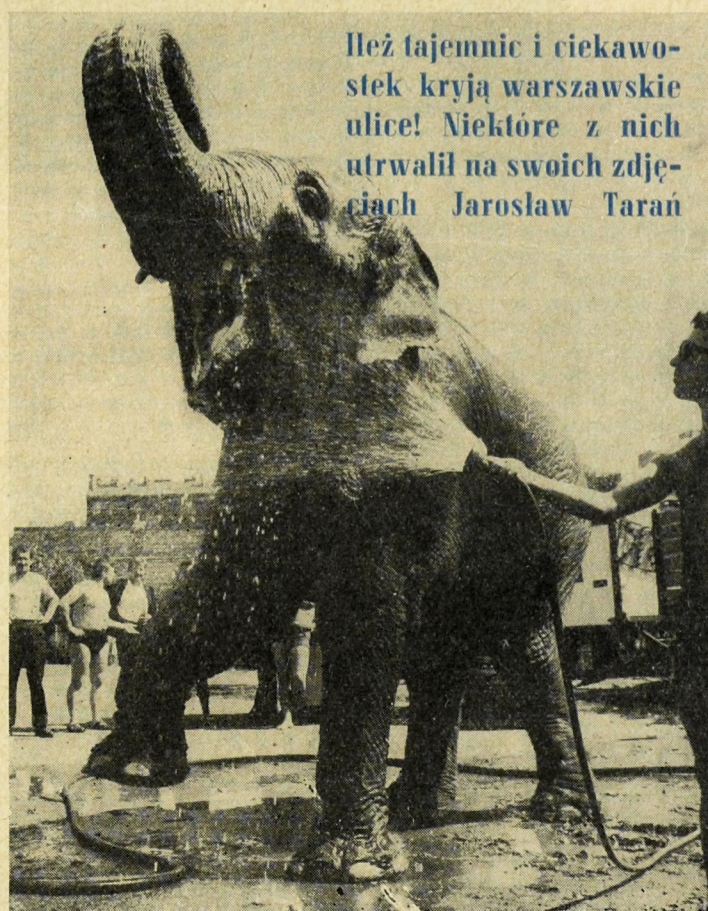
16 ^{maja} _{mai} 1971

Rok wydania XIV Nr 20 (708)

LA SEMAINE POLONAISE



Pop 2373



Ileż tajemnic i ciekawostek kryją warszawskie ulice! Niektóre z nich utrwalil na swoich zdjeciach Jaroslaw Tarań

● „SPECIAL JEUNES” — Du 4 JUILLET au 2 AOUT

A PARTIR DE 745 F

● POZNAŃ - CRACOVIE - VARSOVIE - GDAŃSK
Du 17 JUILLET au 2 AOUT

A PARTIR DE 865 F

● POZNAŃ - CRACOVIE - VARSOVIE - GDAŃSK
Du 17 JUILLET au 16 AOUT

A PARTIR DE 1170 F

● POZNAŃ - GDAŃSK - SOPOT - VARSOVIE

Du 31 JUILLET au 16 AOUT

A PARTIR DE 850 F

● POZNAŃ - GDAŃSK - VARSOVIE - CRACOVIE

Du 31 JUILLET au 30 AOUT

A PARTIR DE 1150 F

● POZNAŃ - CRACOVIE - ZAKOPANE - VARSOVIE

Du 14 AOUT au 30 AOUT

A PARTIR DE 850 F

NOTOGO



DEMANDEZ NOS BROCHURES ETE 71

81, Rue Raspail — 91 - SAVIGNY-SUR-ORGE TEL. : 921.54-07

KRAJ
W
OBIEKTYWIE

WSP IM. POWSTAŃCÓW ŚLĄSKICH

Pierwsza wyższa uczelnia Opolszczyzny — Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu, która od 17 lat kształci młodych nauczycieli, nosi obecnie imię Powstańców Śląskich. Uroczystość nadania tego imienia odbyła się w ramach obchodów 50 rocznicy III Powstania Śląskiego. Na zdjęciu: studenci WSP przed gmachem uczelni; oni patriotyczną walczą swych przodków o polski Śląsk znają tylko z kart historii.



ZDJĘCIA: CAF

KRZYŻ KAWALERSKI DLA PIONTKA

105 uczestnikom akcji ratunkowej w kopalni „Rokitnica” Rada Państwa PRL nadała wysokie odznaczenia. 19 spośród nich, w tym uratowany górnik Alojzy Piontek, otrzymało Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski, pozostali Złote i Srebrne Krzyże Zasługi. Wręczył je ratownikom wicepremier i minister górnictwa i energetyki Jan Mitrega, w czasie uroczystego spotkania w Katowicach. Na zdjęciu: wicepremier Mitrega (z prawej) w rozmowie z Alojzym Piontkiem.



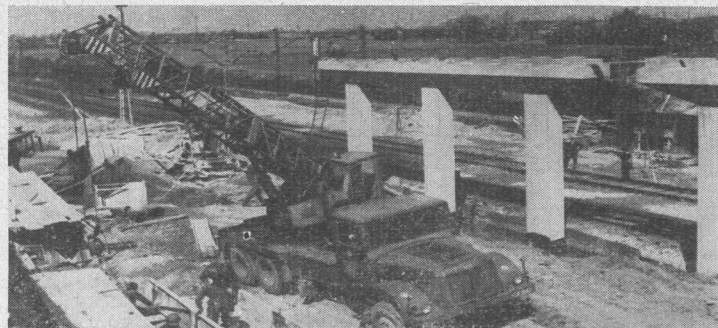
MIERNIKI Z „LUMELU”

Stosowana coraz szerzej automatyka procesów produkcyjnych zwiększa zapotrzebowanie przemysłu na takie urządzenia, jak mierniki elektryczne, przekładniki, regulatory itp. Wytwarzają je Lubuskie Zakłady Aparatów Elektrycznych „Lumel” w Zielonej Górze. Czynności wymagające zegarmistrzowskiej precyzji wykonują kobiety. Na zdjęciu podziały mierników za pomocą specjalnego aparatu wykreśla Kazimiera Gałek.

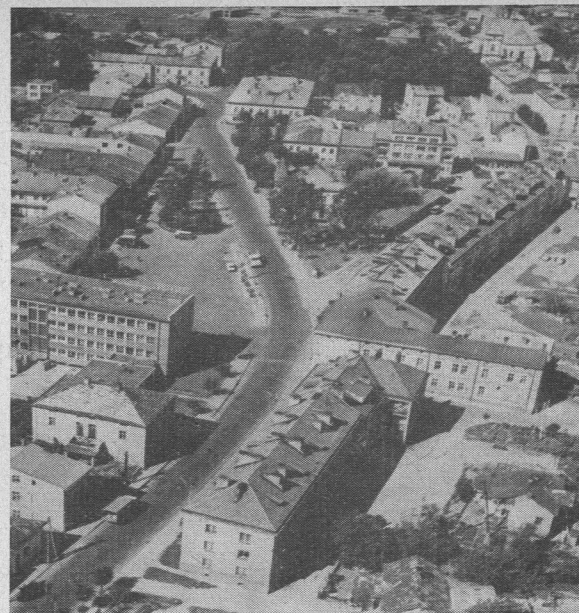


ALEJE JEROZOLIMSKIE — TRASĄ WYLOTOWĄ

Prace związane z modernizacją stołecznej sieci komunikacyjnej objęły m.in. przebudowę i budowę tras wylotowych. Jedną z tych inwestycji jest przedłużenie al. Jerozolimskich. Będzie to szeroka arteria biegnąca od pl. Zawiszy w kierunku zachodnim. Obecnie trwają prace przy utwardzaniu nawierzchni na odcinku 4,5 km nowej trasy i budowie wiaduktu nad torami kolejowymi (na zdjęciu).



POLSKIE MIASTA



Lesko, powiatowe miasteczko, położone na wzgórzu na prawym brzegu Sanu, historią swą sięga XIV w. Kolejno było ono siedzibą takich rodów jak: Kmitowie, Stadniccy, Ossolińscy, Mniszchowie i Krasicy. Ciekawe turystycznie tak ze względu na dogodny punkt wypadowy w Bieszczady, jak i znajdujące się w nim zabytki, odbudowane, podobnie jak całe miasto, po zniszczeniach wojennych. Na uwagę zasługują: zamek Kmitów z XIV w. i kościół, w którym znajdują się epitafia Ossolińskich i Franciszka Pułaskiego, synagoga z XVII w. oraz pomnik przyrody — dąb z 1846 r., mający 7 m obwodu. Z budowli współczesnych warto wymienić nowoczesny szpital, szkoły, kino i Dom Kultury, w którym skupia się życie kulturalne powiatu. Na zdjęciu śródmieście Leska widziane z lotu ptaka.

WIOSENNE GRZYBOBRANIE

W rejonach leśnych powiatów Szczytno, Nidzica i Pisz na Mazurach pojawiły się pierwsze grzyby — piestrzenice. Do punktów skupu państwowego przedsiębiorstwa „Las” dostarczono ich już niemalże ilości. Po wysuszeniu piestrzenice są eksportowane do Francji, gdzie stanowią smaczną przyprawę do sosów. Nie są to co prawda borowiki, ale zawsze grzyby...



P
K
O

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin



BANK
POLSKA KASA OPIEKI S.A.

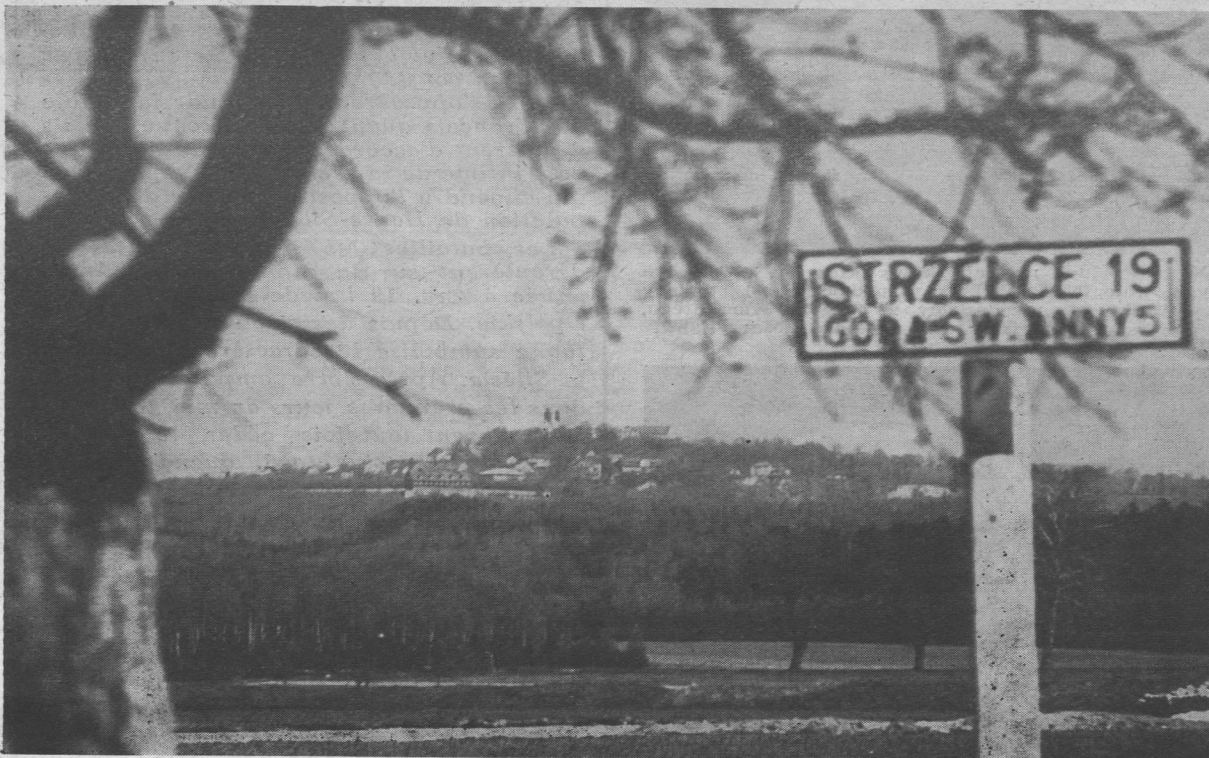
W związku z licznymi zapytaniami BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. Oddział w Paryżu uprzejmie informuje swoich Klientów, że obowiązujące przepisy dewizowe w zakresie przekazów pieniędzy za granicę zostały zmienione w sposób następujący:

- karnety wymiany zostały zniesione
- istnieje możliwość KAŻDORAZOWEGO przekazania za granicę kwoty do 300 F. — bez udokumentowania.

Tym samym ZNIESIONY ZOSTAŁ PRZEPIS dopuszczający przekazywanie za granicę tylko raz w roku 250 F.

...,Tu ma Śląsk swoją Wandę, tu swój Wawel Święty”

GÓRA ŚW. ANNY DZISIAJ I 50 LAT TEMU



Góra św. Anny ma tylko 404 m ponad poziom morza, ale z całym masywem zwanym Górą Chełmską wyrasta wprost na szerokiej kotlinie odrzańskiej i dzięki temu widoczna jest z daleka i z każdej strony

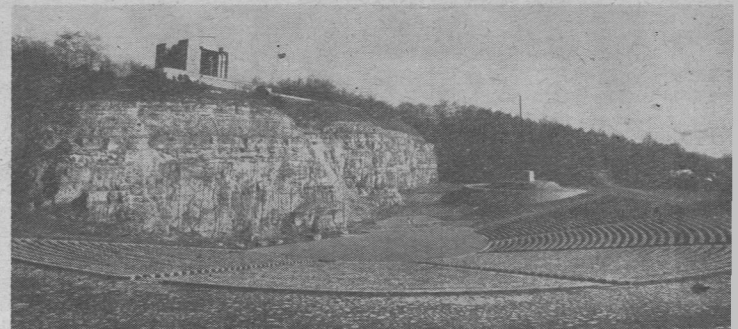
HISTORIA nie była łaskawa dla polskiego ludu na Śląsku. Nie pytano go o zdanie, a kiedy nawet pytano, to nie po to, by się z nim liczyć. Burzliwy okres po pierwszej wojnie światowej dowiódł tego wymownie. Odrodzone państwo polskie wcale nie wyrażało zachwytu, kiedy Ślązacy dobijali się do jego bram dowodząc, że „są kość z kości i krew z krwi z tego samego słowiańskiego pnia co i inni Polacy”. Jedni przedstawiciele ówczesnych władz wręcz ich w granicach Polski nie chcieli widzieć, usiłując przyszłość państwa oprzeć na nieswoich ziemiach na wschodzie; drudzy ślepo wierzyli w pomoc zachodnich aliantów, ufni w ich wspaniałomyślność i sympatię dla Polski, a jeszcze inni po prostu nie widzieli możliwości pomocy dla Śląska w jego walce o powrót do Macierzy wo-

bec ogromnych trudności, jakie zewsząd piętrzyły się przed Polską.

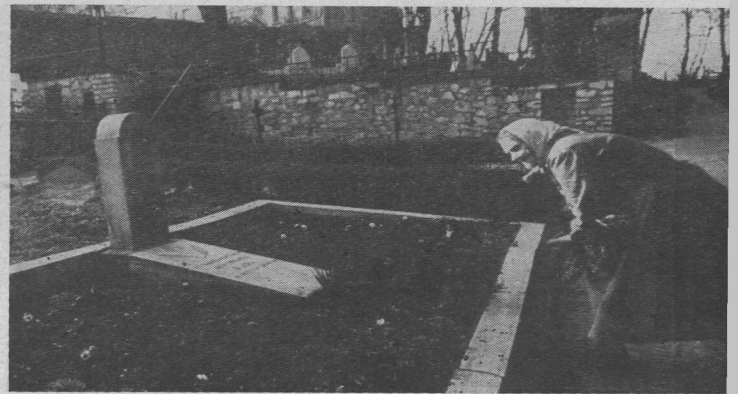
Po głosowaniu plebiscytowym, odbytym w dniu 21 marca 1921, na Śląsku z niecierpliwością czekano na rozstrzygnięcia graniczne. Trzeba pamiętać, że wojna światowa skończyła się pod koniec 1918, upłynęło więc już prawie dwa i pół roku, a na Śląsku wskutek zwodnych decyzji Konferencji Wersalskiej nadal trwał stan niepewności, okupacji, wojennego napięcia, rządów pruskich w administracji i przemyśle, a ludność polska nie była pewna ani dnia, ani godziny. Rosły więc nastroje za samodzielnym rozstrzygnięciem sprawy, zwłaszcza, że ze strony niemieckiej, a także angielskiej i włoskiej, zupełnie niedwuznacznie wypowiedziano się, że Śląsk — poza małymi skrawkami — powinien pozostać w granicach niemieckiej Rzeszy. To rozdrażniało ludność i wybuch



Fragment miasteczka Góra św. Anny na jej szczycie z planem orientacyjnym zabytków dla turystów



Amfiteatr ułożony na naturalnym stoku szczytowego płaskowyzu Góry św. Anny i pomnik Czynu Powstańczego osadzony na zwietrzałym bazalcie



Grób nieznanymi powstańców, którzy padli w zaciętych walkach przed pięćdziesięciu laty

III powstania stał się nieunikniony. Wbrew zaleceniom Warszawy zachowania spokoju, a nawet lania zimnej wody na rozpalone głowy i serca, doszło do niego w chwili, gdy życzliwy Polakom przewodniczący Międzysojusznicy Komisji w Opolu gen. Le Rond, został przegłosowany przez przedstawicieli Anglii i Włoch w sprawie przyszłych rozstrzygnięć granicznych, które dawały podstawę do ostatecznej decyzji tzw. Rady Najwyższej.

1 maja wybuchł wskutek tego na przemysłowym obszarze Górnego Śląska strajk generalny. Stała się zdecydowana większość kopalń, hut i innych zakładów. Strajkujący przesyłali telegramy z protestem przeciw decyzji Rady Najwyższej w sprawie podziału Śląska na ręce brytyjskiego premiera Lloyd George'a, a Korfanty złożyli rządowi polskiemu dymisję ze stanowiska Komisarza Plebiscytowego. 2 maja premier rządu RP. Wincenty Witos odbył z Korfantym rozmowę przy pomocy aparatu Hughesa.

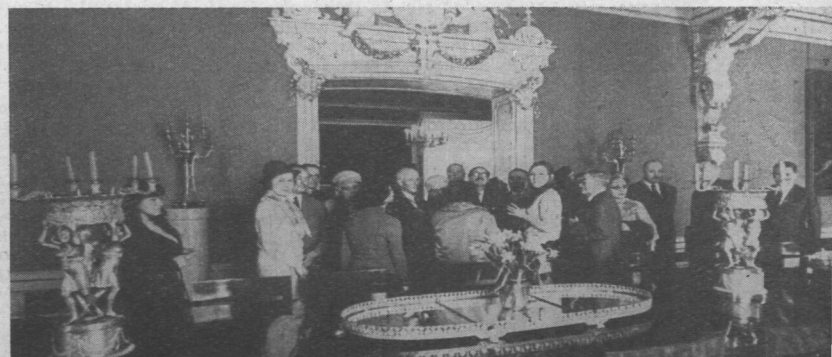
dalszy ciąg na str. 4 i 5

CO ZOBACZYLI UCZENI I PEDAGODZY FRANCUSCY NAD WISŁĄ

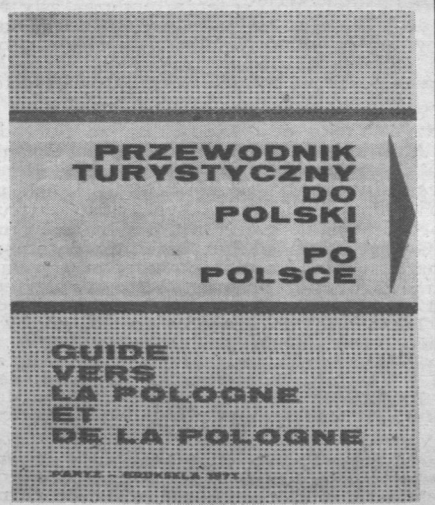
Pod przewodnictwem prof. dr Pierre Grosclaude bawiła w Polsce 22-osobowa grupa uczonych i pedagogów — członków prezydium Stowarzyszeń France-Pologne oraz Odra-Nysa. W ciągu 10-dniowego pobytu odbyli oni szereg spotkań z profesorami wyższych uczelni polskich m. in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz uczeni wrocławskich i łódzkich. Grupa pedagogów szkół średnich odwiedziła polskie licea w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Łodzi. Ponadto goście zwiedzili miejsca historyczne związane ze stosunkami polsko-francuskimi m. in. Pałac Jana Sobieskiego w Wilanowie i Żelazową Wolę. Odwiedzili też dawny obóz hitlerowski w Oświęcimiu i Brzezince, gdzie —

jak wiadomo — znajduje się Muzeum Martyrologii. Na bogaty program turystyczno-krajoznawczy złożyły się też spektakle artystyczne, m. in. w Teatrze Wielkim Opery i Baletu w Warszawie oraz w Teatrze H. Tomaszewskiego we Wrocławiu. W prasie krajowej z okazji pobytu

francuskich przyjaciół ukazało się szereg publikacji poświęconych historii obydwóch stowarzyszeń i ich działaczom. Obszernie o pobycie tej wycieczki w Polsce piszemy na stronie 13. Na zdjęciu: grupa francuskich gości podczas zwiedzania Sali Lustrzanej w Pałacu Wilanowskim.

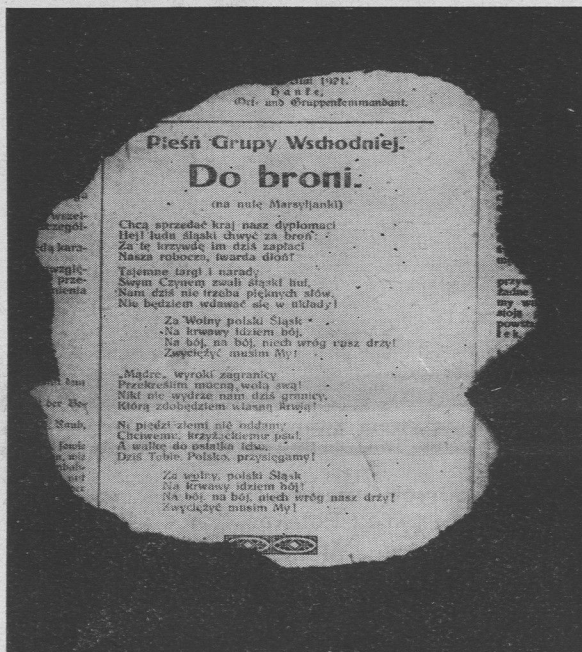
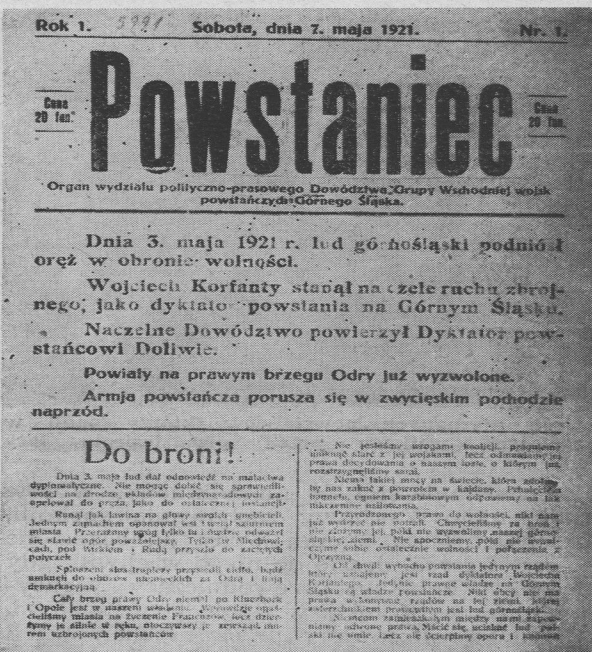


W dzisiejszym numerze znajduje się siódma część „Przewodnika Turystycznego do Polski i po Polsce”, obejmująca strony 97—112, łącznie więc otrzymali nasi Czytelnicy już 112 stron Przewodnika. W następnym numerze ósma część obejmie strony 113—128. Całość będzie miała 160 stron. Przypominamy, że Przewodnik jest nieodłączną częścią naszego pisma i bez „Tygodnika Polskiego” jest nie do nabycia.





Pomnik Czynu Powstańczego dłuta Xawerego Dunikowskiego i widok na zabytkowy klasztor, z którego Niemcy wyrzucili język polski w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, rozpędzając 40 tysięcy pielgrzymów. Poniżej z lewej: pierwsza strona organu wojskowego powstańców z odezwą Korfantego, a obok reprodukcja hymnu powstańczego śpiewanego od pierwszych dni walki na melodię „Marsylianki”



WITOS: Komunikuję Panu: „Rada Ministrów na tajnym posiedzeniu powzięła następującą uchwałę: Rząd kategorycznie oświadcza się przeciw wywołaniu ruchu zbrojnego na Górnym Śląsku i poleca Komisarzowi plebiscytowemu panu Korfantemu dołożyć wszelkich starań i środków, ażeby do tego nie dopuścić”. Naczelnik państwa także jest tego zdania. Rząd w największym zakresie wyzsza strajk generalny... Zgłoszonej przez Pana Komisarza dymisji Rada Ministrów w tej chwili nie uważa za wskazane, wobec podanych okoliczności, ani rozpatrywać, ani też zatwierdzić...

KORFANTY: Niemcy sami nie wierzą, by spokój mógł być utrzymany. Ja również robiłem co mogłem. Uchwała Komisji oburzyła ludność i spowodowała walkę na śmierć i życie. Ruch zbrojny rozpoczął się dziś o północy, jeżeli mu Francuzi nie przeszkodzą. Powodzenie jego uważam za pewne. Dymisję ogłoszę i stanę na czele ruchu...

WITOS: Instrukcje, które podałem oparte są na formalnej uchwale. Pan rozumie, że w razie nie zastosowania się do nich, musiałby Pan przejąć całkowicie na siebie odpowiedzialność. Wszystkich powodów, które skłoniły Radę Ministrów do powzięcia imnego stanowiska. To samo dotyczy i sprawy dymisji Pana...

KORFANTY: W tej chwili jestem niewolnikiem wypadków. W tej sytuacji zmuszony jestem wziąć na siebie odpowiedzialność. Rząd uczynił wszystko, by na Górnym Śląsku do ruchu zbrojnego nie doszło. Ja ze swej strony szedłem w tym samym kierunku, lecz horrendalna propozycja Komisji stanowi taką prowokację ludności że nikt jej pohamować nie jest zdolny.

WITOS: Mimo wszystko liczyć się należy z tym, że w grę wchodzi interes ogólny i że mogą nastąpić nieprzewidziane w tej chwili niebezpieczne komplikacje, tak w walkach na Górnym Śląsku, jak też poza nim. Mogłyby one w wysokim stopniu państwu zagrozić.

KORFANTY: W zupełności zdawałem sobie z tego sprawę, ale nie jestem już panem położenia...

WITOS: Ja jednak mimo wszystko nie mogę zmienić zapatrywania wyrażonego w uchwale Rady Ministrów Panu zakomunikowanej, uważając poza tym, że to jest w danej chwili dla państwa konieczne.

KORFANTY: Przyjmuję do wiadomości, jutro jak najrychlej podam raport o sytuacji.

W nocy wybuchło powstanie. „Jutro” zmusiło Witoso do udania się do Sosnowca na osobistą rozmowę z Korfantym. We wspomnieniach tak o tym pisze:

„Była to bardzo nieprzyjemna niespodzianka tak dla mnie, jak i dla rządu. Korfanty nie zastosował się do uchwały Rady Ministrów... Wydelegowano mnie i Rataja do Sosnowca do przeprowadzenia osobistej rozmowy z Korfantym jak i innymi poważnymi ludźmi, a co najważniejsze ustalenia linii postępowania, by nie być niewolnikiem nieprzemyślanych i niespodziewanych posunięć. Ponieważ wyprawa nasza miała być zupełnie poufna, wybraliśmy się bardzo rano, autem...”

Ale do Sosnowca dotarli dopiero wieczorem, auto psuło się po drodze. Na miejscu spotkali się z Korfantym i wojskowym dowódcą powstania hr. Maciejem Mielżyńskim.

„Rozmowa nasza z Korfantym — relacjonuje dalej Witos — nie była przyjemna. Miałem wrażenie, że był on z naszej wizyty mocno niezadowolony... Upierał się przy swojej polityce i metodach postępowania. Pułkownik Mielżyński wcale nam nie zaimponował. Nie wyglądał na wielkiego pogromcę Niemców i skromnie określał swoją rolę. Korfanty uważał go za niedołęgę... Walka wykazała, że znaczna część ludności górnośląskiej naprawdę się po-

A PRES le première guerre mondiale, la population silésienne prit trois fois les armes pour que la Haute-Silésie fut rattachée à la Pologne. La plus grande et la plus importante de ces tentatives est la IIIe insurrection qui rassembla 40000 ouvriers et paysans silésiens. L'insurrection fut précédée d'un grève générale qui éclata le 1er mai 1921, il y a donc 50 ans. Dans la nuit du 2 au 3 mai, des détachements de résistants commencèrent la lutte. Seules les grandes villes où se trouvaient les garnisons françaises et italiennes de la Commission Administrative Interalliée d'Opole et qui avaient pour mission de faire régner l'ordre sur le territoire du plébiscite, ne connurent pas de troubles. Les élections plébiscitaires qui devaient décider de la division de la Silésie entre la Pologne et l'Allemagne, ne furent pas prises en considération. Les Anglais et les Italiens s'opposèrent à l'attitude favorable des Français quant à la Pologne, et ils décidèrent d'accorder à cette dernière une part infime de la terre silésienne, décision qui engendra l'opposition armée de la population de Haute-Silésie.

Les batailles les plus sanglantes se déroulèrent sur la montagne Ste Anne, située à env. 19 km de la ville Strzelce Opolskie. Depuis des siècles, cette montagne symbolise le caractère polonais de la Silésie. Après s'être emparé du mont dans les premières jours de mai, les résistants durent toutefois céder le terrain trois semaines plus tard, quand les Allemands firent entrer dans la lutte des divisions de l'armée régulière placées sous le commandement de généraux prussiens de carrière; pour dupe le monde elles étaient appelées „formations volontaires d'autodéfense”. Leur but n'atteint pas un total succès, elles ne réussirent pas à écraser l'armée insurrectionnelle qui, après un court découragement, occupa de nouvelles positions et ne s'en laissa pas déloger. Seul l'armistice, provoqué par la coalition apporta la fin des luttes. Les parties en lice furent séparées par les armées françaises et italiennes. L'insurrection eut pour résultat de voir rendue à la Pologne une partie de la Silésie nettement plus conséquente à celle proposée en tout premier lieu.

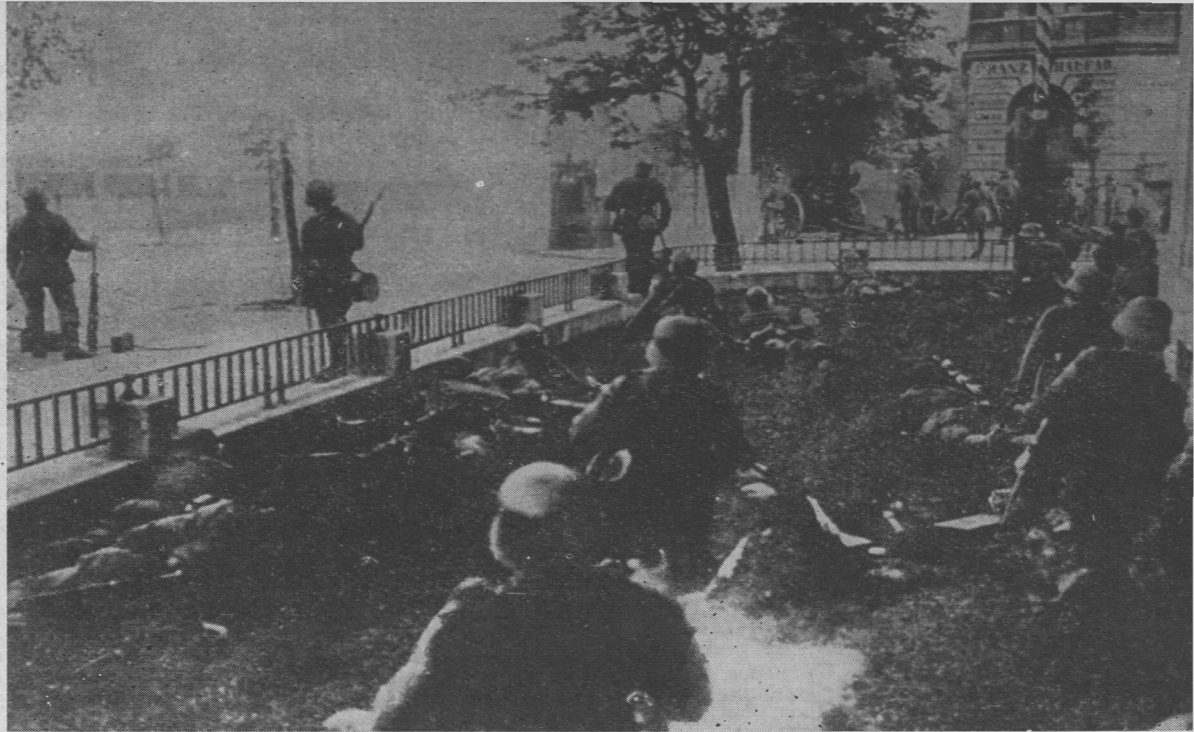
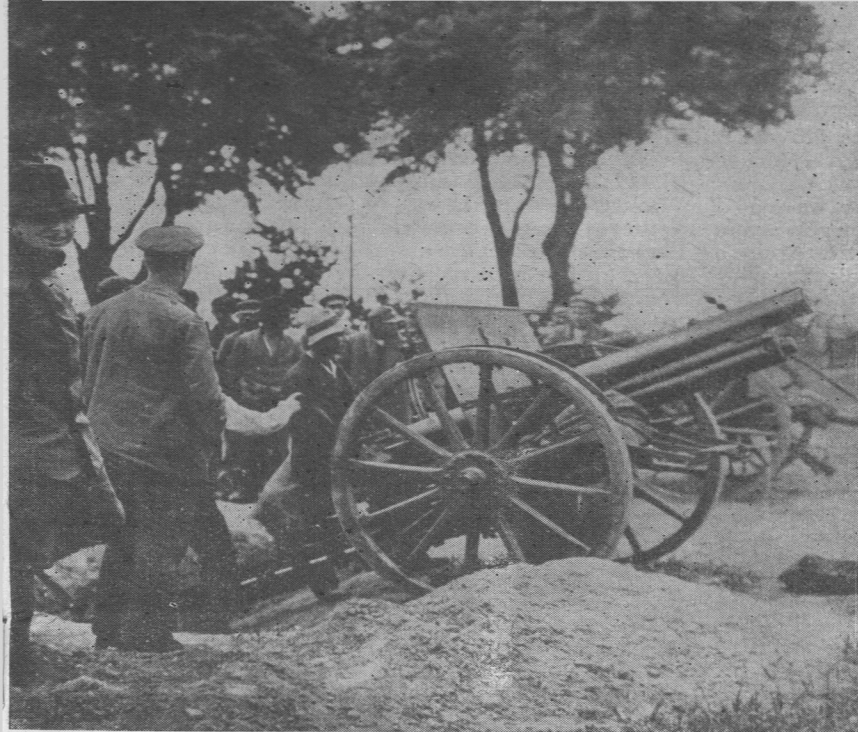
święcała i że wolność tego kraju i pragnienie należenia do państwa polskiego okupila dużymi ofiarami. Były to najlepsze żywioty... Powstanie zrobiło także i rządowi dość kłopotu, gdyż powstańcy próbowali walk z oddziałami koalicyjnymi...

Znawcy stosunków twierdzili, że powstanie było całkiem niepotrzebne, gdyż strajk generalny wykazujący siłę żywioty polskiego zupełnie wystarczyłby. Jakkolwiek się stało, to koalicja po tych wydarzeniach zmuszona była zmienić swoją pierwotną decyzję, przydzielając Polsce znacznie większy obszar Górnego Śląska, aniżeli to było początkowo jej zamiarem. W tym kierunku Korfanty miał zupełną słuszność.

Z powyższego widać, jak bardzo różne poglądy dominowały w Warszawie w stosunku do tego, czego domagali się Ślązacy. Poza tym cała sprawa omotana została nieprawdopodobną siecią intryg politycznych, nie tylko na Górnym Śląsku, w Polsce, ale i na szerokiej arenie międzynarodowej. Zabierali w sprawie Śląska głos wszyscy „najwięksi” ówczesnej Europy, choć jego problemów w ogóle nie znali. Wojskowa część powstania od strony kierownictwa pozostawiała wiele do życzenia, podczas gdy rząd niemiecki powierzył przygotowanie decydującego odwetu militarnego na Polakach zawodowym sztabowcom, stwarzając odpowiednią atmosferę propagandową, proponując koalicji „pomoc wojskową dla przywrócenia porządku na Górnym Śląsku”. Wszystko to i jeszcze szereg innych czynników czyniło sytuację bardzo skomplikowaną.

Komisja Międzyparlamentarna odpowiedzialna za porządek na terenie plebiscytowym, z winy Anglików i Włochów, nie zdała egzaminu, a kiedy już w czasie trwania walk jej przewodniczący gen. Le Rond zawarł z Korfantym umowę o zawieszeniu broni i pozostawieniu wojsk powstańczych na terenie zdobytym, reszta Komisji nie aprobowała tego kroku. Powstańcy zaś zawieźli jej i po prostu zostali oszukani. Bardzo na tym stracił autorytet Korfante. Lloyd George wygłosił bezpośrednio potem niesłychanie ostrą antypolską mowę, przekraczając w niej powszechnie znane prawdy. Korfanty nie pozostał mu dłużny, również premier Witos wypowiedział się bardzo stanowczo, ale mowa Lloyd George'a zachęcała rząd niemiecki do dalszych antypolskich posunięć. I kto wie, do czegooby doszło, gdyby nie stanowcza postawa rządu francuskiego, który zagroził, że w wypadku wprowadzenia na teren górnośląski oddziałów armii niemieckiej, natychmiast wojska francuskie wkroczą do Nadrenii i Westfalii. To podziałało na rząd niemiecki, ale nie zmieniło jego zamiarów. Regularne formacje wojskowe pod dowództwem zawodowych generałów Hoefera i Huelsena wprowadzono następnie do walki przeciw powstańcom.

Wojskowy przebieg powstania charakteryzuje się świetną organizacją i dużymi zwycięstwami w pierwszym okresie walk. Zaskoczenie przeciwnika było niemal zupełne. Miasta, w których znajdowały się garnizony francuskie i włoskie, zostały cernowane czyli otoczone, ale na ich rogatkach urzędowali już



powstańcy. Próba interwencji ze strony Włochów, skończyła się dla nich sromotnie. Operacyjne przedsięwzięcia poszczególnych formacji powstańczych były w wielu miejscach bez zarzutu. Z miejsca ujawniła się duża pomysłowość techniczna żołnierzy powstańczych co wyrażało się m. in. wprowadzeniem do walk pociągów i aut pancernych własnego pomysłu, produkcji materiałów wybuchowych, swoistej amunicji i świetnie pomyślanej służby łączności. Była to niewątpliwie najbardziej techniczna wojna, jaką dotąd przypadło prowadzić Polakom we własnym kraju, czego — jak dotąd — wojskowi historycy nie zdołali zauważyć. Gorzej było z dowództwem. Wódz naczelny nie nadawał się na to stanowisko, a innych, którzy ew. mogli je objąć, nie dopuszczono. Sieć intryg, jaką wnieśli z miejsca niektórzy oficerowie przybyli na Śląsk z innych dzielnic, zresztą amatorzy, bez większego doświadczenia, obniżała poziom bojowy dzielnych oddziałów powstańczych. Po latach jeden z najzdolniejszych dowódców śląskich, kpt. *Fojkis*, napisze o jednej z grup przybyszów z tak zwanego POW, że „nie nasze i nie polskie mieli oni cele, ale własne, osobiste.” A zaufano im bez reszty.

Najważniejsze i największe boje zostały stoczone w rejonie *Góry św. Anny* i o tę Górę. Powstańcy zdobyli ją w pierwszej dekadzie maja, co miało doniosłe znaczenie wojskowe, gdyż dawało panowanie nad terenem w szerokim zasięgu. Ale nie tylko wojskowe, również i moralne. Góra św. Anny otoczona od wieków nabożnym kultem ludności śląskiej, była zawsze symbolem przywiązania do mowy i wiary ojców, którą z miejscowego klasztoru i miasteczka na jej szczycie, brutalnie wyrzucono. W poemacie na ten temat, będącym czymś w rodzaju eposu, regionalny poeta śląski *Norbert Bończyk* (a właściwie *Boncyk*), znany pod każdą górnośląską strzechą wołał: „*Góro... piastowskich ziem stróżu wieczysty!*” i przypominał, że stąd „*wypatrzył Chrobry drogę na Zachód od sławy!*” i że „*tu ma Śląsk swoją Wandę, tu swój Wawel święty!*” Ślązacy od wieków utrzymywali, że ze szczytu góry przy pogodzie widoczne są wieże Wrocławia, Krakowa i Częstochowy oraz szczyty Tatr i Karkonoszy „*bo to wszystko jedna Polska...*”

Usadowienie się na Górze wojsk powstańczych przyjęte zostało jako dobry znak i spełnienie odwiecznych dążeń śląskiego ludu. Nie można powiedzieć, aby inne zwycięstwa powstańcze nie miały wojskowej wagi, ale Góra św. Anny najbardziej przemówiła do górnośląskich serc.

Zepchnięcie powstańców ze szczytu i opanowanie osiedli wokół góry jako punktów wypadowych do dalszych marszów, stało się podstawowym założeniem operacyjnym, jakie we wrocławskim dowództwie opracowali wytrawni pruscy sztabowcy. Za jednym zamachem chcieli oni przełamać polską linię obrony, dotrzeć do Gliwic, gdzie otoczony był i oczekiwał na wybawienie duży garnizon tzw. „Selbstschutzu” czyli rzekomej „samoobrony” niemieckiej a w rzeczywistości uzbrojonych, ale przebranych za cywilów żołnierzy dywizji gen. Hoefera. Później przysły pertraktacje o zawieszenie broni, umowa, do której się powstańcy zastosowali, wycofanie się z wziętych na siebie zobowiązań Komisji Międzyaliantkiej i wyprowadzenie powstańców w pole.

21 maja Niemcy przystąpili do odwetu. Niektóre miejscowości obsadzili bez walki, powstańcy bowiem z nich ustąpili w głębokim przekonaniu, że zgodnie z umową wkroczą do nich wojska alianckie, które jednak tego nie zrobiły.

Walka o Górę św. Anny trwała przeszło tydzień, Polacy ją przegrali. Niemcy jednak nie osiągnęli zamierzonego celu. Do Gliwic nie dotarli. Katowic nie zdobyli i nie mogli ogłosić pełnego zwycięstwa. Nie zepchnęli powstańców poza kordon graniczny od strony Polski, co było w ich założeniu. Próba gliwickiego Selbstschutzu wyrwania się z miasta i połączenia z dywizją Huelsena skończyła się dla Niemców katastrofalnie. Więcej jej nie podjęli. Nie spełniły się też marzenia gen. Huelsena, dowódcy jednej z głównych grup Selbstschutzu o wywołaniu niemieckiego powstania na polskim zapleczu. Tym samym Niemcy nie zdołali w ogóle wejść na przemysłowy obszar Górnego Śląska, a to było ich głównym celem. Gen. Hoefer tłumacząc się z tego w swych wspomnieniach musiał przyznać, iż „*przy plebiscycie oddano razem pół miliona głosów polskich i to przeważnie w objętym powstaniem okręgu, przez który trzeba było przejść. Niemcy na tym terenie byli w mniejszości w masie po polsku myślących.*” Dał tym mimo woli wyraz prawdzie. Nie udało się Hoeferowi i Huelsenowi rozbić armii powstańczej. Początkowe załamanie, zostało opanowane, opór umocniony. Walki nie zostały zakończone utraceniem Góry. Trwały jeszcze przez kilka tygodni, ale ze zmniejszoną siłą. Dalszych zmian terytorialnych nie przyniosły. Niemcy byli wyczerpani, zaciętość powstańcza nie zachwiana. Koniec walk przyniósł dopiero rozejm zawarty pod naciskiem aliantów i rozdzielenie obu stron pasem wojsk francuskich i włoskich. Ale decyzje w sprawie podziału Śląska były już zupełnie inne niż te, które podjęto dwa miesiące wcześniej. I to była niewątpliwa zasługa III powstania.

(Zet).



U góry z lewej: Artyleria powstańcza z działami zdobytymi na Niemcach, a obok regularny oddział „Selbstschutzu” na chwilę przed natarciem na pozycje powstańcze. Wyżej: pluton powstańczy na rynku w Tarnowskich Górach

ZDJĘCIA: WŁ. OCHNIO i ARCHIWUM

RODAKU! czy już byłeś w nowo otwartym
spożywczo-alkoholowo-garmażeryjnym

SKLEPIE POLSKIM

przy 11, rue Joffroy, Paris 17
Metro Wagram tel. 622-55-52

Przyjmujemy zamówienia na urządzanie przyjęć z okazji
chrzcin, Komunii świętej, imienin oraz wesel.

Sklep nieczynny w niedziele.

**P
K
O**

23, rue Taitbout — PARIS
IX-ème

Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin
**BANK
POLSKA KASA OPIEKI S.A.**

■ Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.

- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wkłady na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka
i wykwalifikowana obsługa

JESIENIĄ 1942 hitlerowskie Niemcy obsadzają nieokupowaną dotąd część Francji. Sytuacja zmienia się tu w ciągu kilku dni diametralnie. Legalne organizacje polskie o charakterze charytatywnym, współdziałające z podziemiem, zostają rozwiązane. Wielu ludzi wpada w szpony gestapo. Organizacje ruchu oporu natrafiają odtąd na nowe i nie przewidziane utrudnienia. Przerzuty przez Pireneje i dalej przez Portugalię, a także morzem do Gibraltaru i na południowe brzegi Morza Śródziemnego, ulegają na jakiś czas zahamowaniu, w wielu wypadkach następują długotrwałe przerwy. Okupanci na wszystko kładą brutalną łapę. Działalność w niejednej dziedzinie, traktowana do niedawna do przymrużeniem oka, kończy się nieraz tragicznie dla ludzi. Niemcy bez śledztwa, z pominięciem czynników petainowskich, pakuja ich do więzienia, wysyłają do obozów koncentracyjnych — zdarza się — kierują również pod salwy plutonów egzekucyjnych. Upłynęły tygodnie, zanim zamieszanie w szeregi konspiratorów minie, i nastąpi przystosowanie do nowych warunków.

Po jakimś czasie okazuje się, że w szeregach Wehrmachtu znajdują się nie sami Niemcy, lecz ludzie innych narodowości przymusowo do niego wcieleni; nie brak Polaków ze Śląska i Pomorza oraz z polskich ziem, które po traktacie wersalskim pozostały w niemieckiej Rzeszy. Dywizje Wehrmachtu skierowane w tereny alpejskie roją się od Ślązaków. Szukają oni porozumienia z miejscową ludnością, dopytują o Polaków, wbrew surowym konsekwencjom, jakie im grożą, nawiązują ostrożne kontakty z Résistance. I choć okupanci podejmuje na wielką skalę próby oczyszczenia górskich terenów zarówno z mnożących się oddziałów maquis, jak i wszelkiej skierowanej przeciwko nim działalności podziemnej, choć wprowadzają do akcji zmotoryzowane i pancerne jednostki, choć dochodzi do krwawych walk i zbrodniczych represji wobec często Bogu ducha winnej ludności i ukrywających się w alpejskich ustroniach uciekinierów, ruch oporu nie poddaje się. Wiara w klęskę Niemców jest coraz powszechniejsza, ciągi jakie otrzymują na wschodzie, wyrzucenie z Afryki, obsadzenie Sycylii robią swoje, wzmagają ducha walki. Tereny spacyfikowane przez wroga są tylko pozornie spokojne, nieprzyjaciel panuje na nich chwilowo i mimo swej przewagi w broni, amunicji i organizacji wojskowej, nie jest pewny ani jednej godziny. Jego garnizony żyją w stałym pogotowiu alarmowym i tylko w większych ośrodkach; by mieć w rękę gniazda górskie, muszą Niemcy urządzać bojowe wyprawy, a potem w wypadku zdobycia, utrzymują się w nich jedynie przejściowo.

W roku 1943 znaczna część petainowskiej Francji objęta już gęstą siecią ruchu oporu, działającego z ukrycia i zniemacka na każdym polu, gdzie tylko można utrudniać i opóźniać, osłabiać i paraliżować działania okupanta. W masywie Centralnym i w Alpach zjawia się coraz więcej młodych ludzi uchylających się od przymusu pracy dla Niemców. Chcą walczyć, domagają się broni, którą francuskiej Résistance wydzielają po aptekarsku alianci. Różnice polityczne, które dzieli wielu Francuzów, ustępują teraz miejsca sprawie nr 1, jaką jest walka z najeźdźcą. A kiedy na przełomie 1943/44 dowództwo hitlerowskie usiłuje oczyścić wybrzeże morskie z miejscowej ludności na szerokim pasie od Marsylii aż po Italię i obsadzić je wojskiem dla umniejszenia kontaktów Résistance z siłami zewnętrznymi, rezultat tego jest bardzo mizerny. Przerzuty dokonywane przez członków ruchu oporu do Afryki Północnej, jak i w kierunku odwrotnym po chwilowej przerwie i rozeznaniu przez wywiad każdej dziury na nabrzeżu, odbywają się nadal. Czasem wprost, czasem via Gibraltaru, kutrami rybackimi pod hiszpańską flagą. Kutrami tymi dowodzą kapitanowie francuscy, polscy, belgijscy, norwescy, a załogi stanowią marynarze różnych nacji gnębionych hitlerowską okupacją.

Algier jest już w tym czasie siedzibą Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który przeniósł się tu z Londynu, a

niebawem przekształci się w Rząd Tymczasowy. Ale równocześnie jest kwaterą główną amerykańskiego generała Eisenhowera, który kierował operacjami aliantów w Afryce Północnej, a teraz został wyznaczony na wodza naczelnego wojsk sprzymierzonych w przewidywanej inwazji na kontynent. Amerykanie szarogęszą się w Algierze, jak zresztą w całej Północnej Afryce, co im się nie zawsze i nie we wszystkim udaje.

W mieście roi się od agentów tajnych służb nastawionych wprawdzie na kierowanie robotą dywersyjną na kontynencie przeciw Hitlerowi i kontrywiad przeciw okupantom Francji, ale penetrujących się nawzajem.

Jest wśród tych agentów panna czy mążatka, a może rozwódka, któż to może ustalić — „Pauline”. Jej prawdziwe imię i nazwisko poznamy później, w tej chwili jest ono niepotrzebne, a tych fałszywych miała już tyle, że jako ich właścicielka musi rzeczywiście mieć wyjątkowy talent, aby tak zmieniać dokumenty, nie mylić się za każdym razem nie tylko z nowym imieniem i nazwiskiem, ale datą i miejscem urodzenia, narodowością, rzekomym zawodem. „Paulina” jest od niedawna i ma nią być na czas najbliższego zadania. Ze zmianą nazwiska i funkcji, zmienia oczywiście fryzurę, ubiera się w sposób wymagający przystosowania do środowiska, potrafi być damą, chłopką, robotnicą, urzędniczką, ekspedientką czy uliczną handlarką, wcielić się w Angielkę, Francuzkę, Niemkę, Amerykankę, Czeszkę, a

„PAULINE” W SŁUŻBIE RESISTANCE (1)

ŻYCIE CODZIENNE NIEZWYKŁEJ AGENTKI

w rzeczywistości jest Polką, która pod koniec 1940 opuściła Warszawę. W tej chwili, a właściwie od tego czasu wcale się do swego prawdziwego pochodzenia nie przyznaje. Nie może. Nie wolno jej. Za każdym razem musi grać taką rolę, jaką jej wyznaczono.

Lata wojny, które ma za sobą, były dla niej jakby jednym pasmem aktorstwa, jakiego nie przeżywał jeszcze żaden mistrz sceny, bo nie tylko gra wchodzi w jej sztucznych wcieleniach w rachubę, ale i hazard, w którym stawka jest najwyższa, własne życie. Role, jakie jej wyznaczają przełozeni, mają to do siebie, że w przeciwieństwie do sceny, po ich wykonaniu, należy o nich milczeć, nie można się nimi delektować, nie ma po nich oklasków, gratulacji, kwiatów, recenzji w prasie. Nie wolno się do nich przyznawać, nawet wspomnieć, że się kimś podobnym było. Trzeba o nich każdorazowo po prostu zapomnieć. Zapomnieć. Gdyby tak w rzeczywistości można...

Prawdopodobnie już jutro będzie musiała wykreślić z pamięci, co przez ostatnie tygodnie robiła w Algierze, że tu w ogóle była, że ma jakieś pojęcie o tym pięknym mieście. Właśnie teraz myśli o tym ponownie, kiedy zbliża się godzina spotkania z kimś, kto wyjaśni jej tylko wstęp do nowego zadania, doręczy „murowane” dokumenty podając gdzie i kiedy trzeba się stawić, hasła, odzewy itp. Jak długo to jeszcze wszystko potrwa, kiedy wróci pod swym prawdziwym nazwiskiem do Warszawy, ile jeszcze razy będzie musiała zmieniać swoją osobowość, gdzie ją tym razem skierują? Nieuporządkowany nawał takich i podobnych pytań przenika przez jej

umysł, usiłuje znaleźć na nie odpowiedzi, lecz nigdy ich nie znajduje. Albo po co jej ta cała robota, ustawiczne napięcie nerwów, dłaczego z taką pasją już w 1939 roku w Warszawie rzuciła się w wir służby wywiadowczej i nie przerwała jej ani na chwilę? Przecież służyć sprawie ojczyzny i sprzymierzonych można również inaczej, bez tych zwiariowanych zadań, nieraz zdawałoby się niewykonalnych! Ileż to pożytecznych czynności wykonują kobiety na rzecz przyszłego zwycięstwa aliantów? Nie, nie zamieniłaby swej roli na żadną inną. A może tak nie było? Może nie usiłowała wnikać głębiej w przyczyny, dla których z taką pasją wykonywała swoje wywiadowcze funkcje? Cóż możemy na ten temat wiedzieć. Nigdy się już nie dowiemy. Snuto później co do tego różne domysły; może była to chęć zapomnienia o utraconej miłości, może chęć zemsty na wrogu za kogoś najbliższego, najdroższego sercu. A może po prostu reakcja na lata młodości i nauki w klasztornej konwiktce świątobliwych panien Benedyktyn, gdzie choć uczyła się celująco i zdała maturę jako jedna z najlepszych, nigdy nie mogła pogodzić się z ciasnotą zamkniętych murów, brakiem oddechu na szeroki świat, który pragnęła poznać, wyżyć się w nim, przemierzyć wzdłuż i wszerz.

Nowe zlecenie brzmiało krótko: zostanie przetrzona do południowo-wschodniej Francji, będzie grała francuską kolaborantkę sprzyjającą Niemcom. W rzeczywistości będzie pracowała na rzecz francuskiego ruchu oporu. Rzecz jest uzgodniona z francuskimi czynnikami wojskowymi. Szczegółowe zadania otrzyma na miejscu, po drugiej stronie morza. W tej chwili nie potrzebuje ich znać. Wyjazd — tak jak się spodziewała — jutro. Już tam na nią czekają. Nie, nie zostanie tym razem zrzucona z samolotu ze spadochronem. Ma się stawić na lotnisku. Francuzi przecież już we wrześniu ubiegłego roku wrócili na Korsykę. Myślała, że polecą przez Gibraltaru, jak przed kilku miesiącami do Algieru. Drogi przez Korsykę jeszcze nie znała.

Wylądowała na lotnisku polowym gdzieś koło Ajaccio. Podwieziono ją następnie autem do Calvi i umieszczono w pensjonacie, w którym się z nikim nie kontaktowała. Była już kimś innym niż wczoraj w Algierze, a chodziło teraz o to, by jej na Korsyce nie dostrzegł niepotrzebnie ktoś, kto ją jutro czy pojutrze może spotkać we Francji. Po jednodniowej przerwie podwieziono ją wieczorem do portu. Wraz z kilku innymi pasażerami wsiadła na kuter rybacki. Kuter szybko opuścił port, wziął kurs na północ, wywieszając dla bezpieczeństwa hiszpańską flagę, chociaż krył się pod osłoną nocy. Kapitan i załoga stanowili jakąś dziwną zbieraninę, ale byli zgrani. Zdaje się, że na tej linii kursowali regularnie i bezbłędnie od chwili wyzwolenia wyspy. Mieli z jednej strony połączenie iskrowe z macierzystą przystanią, a z drugiej o określonej godzinie, bardzo krótką, dwu lub trzymiutową łączność z wybrzeżem. Stamtąd z tajnej radiostacji otrzymywali komunikat meteorologiczny... W rzeczywistości były to zaszyfrowane znaki o stanie bezpieczeństwa i możliwościach wysadzenia pasażerów w ustalonych miejscach, oczywiście nie w żadnym z portów, lecz na dzikim wybrzeżu. Zresztą była to już w tej chwili jedyna trudność na Morzu Śródziemnym, odkąd alianci zmieśli z niego Niemców. Naprawdę groźne były jedynie wody przybrzeżne kontynentu patrolowane przez niemieckie motorówki i ewentualność wypenetrowania przez samoloty Luftwaffe, które taki kuter bez większych trudności mogły posłać na dno z broni pokładowej.

Zanim jednak Paulina dotknęła stopami ziemi francuskiej opodal Lazurowego Wybrzeża, przyjrzyjmy się jej bliżej. A więc wyróżniała się nieprzeciętną urodą: wysoka, smukła blondynka o proporcjonalnej budowie ciała, wysportowana, dosiadająca z równą wprawą konia, roweru, czy motoru. Kierująca autem, jeżdżąca na nartach, umiejąca pływać, wprawiona w długie marsze w tatrzańskich wycieczkach. Jako kobieta pozbawiona była wszelkiej sztuczności, choć po-



W Paryżu zaprezentowany został nowy model samochodu Renault-Alpine „A-310” o pojemności 1605 cm sześciennych. Szybkość maksymalna samochodu wynosi 215 km na godzinę

ZMIERZCH WANKLA?

Znacznie ciszej, niż to było w okresie urodzin, odbywa się obecnie pogrzeb silnika Wankla. Specjaliści w prasie fachowej stwierdzają po prostu, że nie nadaje się on do napędu samochodów.

Zabawka dla eksperymentatorów

Miłośnicy motoryzacji dobrze znają zasadę działania silnika Wankla, innym wystarczy wyjaśnienie, że konstruktorów urzekła jego genialna prostota. Obrótowy tłok przekazuje moc na wał napędowy, bez układu rozrządu zaworów, wału korbowego i korbowodów. Silnik mały, lekki, pozbawiony drgań. Dość powiedzieć, że samochody NSU RO-60 wyposażone w ten napęd mają bagażniki z przodu i z tyłu — silnika w ogóle nie widać. Ale znamien-

ny był fakt, że chociaż licencje od Wankla kupiło wiele krajów, wielkie firmy samochodowe oddały ją swym ośrodkom doświadczalnym, nie kwapiąc się do produkcji. Zachodniemiecka NSU, która pierwsza wystartowała z modelem rynkowym, nie zrobiła na nim interesu.

Dla wyjaśnienia przyczyn trzeba wnikać nieco w szczegóły techniczne. Otóż specjaliści mieli od razu zastrzeżenia co do sposobu uszczelniania tłoka w komorze spalania, od czego zależy moc, sprawność i trwałość silnika. W klasycznym silniku spalinowym zadanie to spełniają idealnie pierścienie osadzone na walcowym tłoku, sprężynujące, bo większe nieco od średnicy cylindra. W silniku Wankla trzeba natomiast uszczelniać powierzchnię o kształcie prostokąta, co jest nieporównanie trudniejsze i w praktyce dotychczas nie rozwiązane.

Chwilowo w motopompach

Powstało wprawdzie w tym zakresie wiele pomysłów, ale wszystkie podzielić można na dwie grupy: albo silnik jest mało sprawny, albo mało trwały. W tej drugiej właśnie znalazł się samochód NSU RO-80. Opublikowane obecnie wyniki kilkuletnich doświadczeń ujawniają, iż żaden z wozów nie przejechał bez wymiany silnika więcej niż 20 tys. km. Wiele silników trzeba było wymienić już po 10 tysiącach, co dla dobrego konwencjonalnego czterosuwa jest dopiero zakończeniem okresu docierania. W tych warunkach nie może być mowy o konkurencji.

Z rynku motoryzacyjnego dobiegają wprawdzie równocześnie i wieści wprost przeciwnie, ale nie ma między tym żadnych sprzeczności. Konstruktorzy pracują bowiem nadal nad rozwojem koncepcji Wankla. Liczą na powstanie nowych pomysłów. W pewnych dziedzinach, poza motoryzacją, silnik ten spełnia już obecnie doskonale zadania, np. w motopompach strażackich, gdzie sprawność i trwałość nie odgrywają większej roli. Firmy samochodowe, jak np. Citroën, Mercedes i NSU, angażują się nadal w te modele ze względów prestiżowych i reklamowych. Może dlatego lepiej sprzedają inne, zwykłe samochody.

Opinia „Motor Rundschau”

Zakupiono licencję Wankla w 1961 r. także w NRD i od dziesięciu lat prowadzono tam doświadczenia bez eksperymentów rynkowych. Jak przeczytaliśmy w „Motor Rundschau” — mała trwałość silnika nie jest jedyną przyczyną jego dyskwalifikacji jako napędu samochodowego. Silnik Wankla ustępuje również konwencjonalnemu pod względem sprawności termodyna-

micznej, gdyż ma większą powierzchnię komory spalania i straty ciepłe, a także mniejszą prędkość przemiany energii. Nie bez znaczenia pozostaje również fakt gorszego przebiegu procesu spalania i emitowania większej ilości zanieczyszczeń do atmosfery. Warto podkreślić rzetelność tej oceny, bo niezbyt często mówi się publicznie o wadliwej kupionej licencji.

Światowy przemysł motoryzacyjny, wbrew głośno reklamowanym nowościom, jest w istocie mocno konserwatywny. Ma to uzasadnienie w osiągnięciu dużej doskonałości konstrukcyjnej i w trudności wprowadzania zmian technologicznych. Rzeczywisty postęp realizuje się w żmudnych i drobiazgowych badaniach (prace nad nowym modelem konwencjonalnego silnika trwają kilka lat), a z rezerwą traktować trzeba w tej dziedzinie rewelacyjne pomysły. Chociaż... wszystko jest możliwe.

... a jednak wpadli na to!

I na dowód przytoczymy przykład z podwórka w Kraju. Przed kilkunastu laty kolarz do różnych drzwi wynalazca, który w ciągnikach rolniczych postanowił zastosować z przodu i z tyłu koła tej samej wielkości, równocześnie napędzane i skręcające. Obliczył, że w ten sposób traktor będzie bardziej zwrotny, uzyska się większą siłę uciążą i mniejsze ugniatanie gleby. Tłumaczono mu: „Panie, to rzeczywiście wydaje się dobre, ale przecież w budowę prototypów trzeba włożyć miliony. Polska nie jest motoryzacyjną potęgą i niemożliwe, żeby na tak prostą rzecz nikt dotychczas nie wpadł...”

Może i sam autor zaczął w końcu mieć co do tego wątpliwości, ale tylko do czasu, gdy na jego pomysł wpadli również konstruktorzy firm zagranicznych. Trudno więc być prorokiem w technice...

Samochód o pojemności silnika 1015 cm sześciennych z napędem na przednie koła, z zawieszeniem hydropneumatycznym — Citroën GS. Rozwijać będzie szybkość 150 km na godzinę



Samochód, który nie będzie zairuwał

PASJONUJĄCY WYŚCIG

Im więcej narzeka się na samochody, tym więcej się ich produkuje. Oczywiście są kraje, w których jeszcze wiele samochodów się „zmieści”. Ale są też i wielkie skupiska ludzkie — np. Paryż, Tokio, Londyn — miasta amerykańskie, w których „gęstość motoryzacji” doprowadza do degeneracji środowiska. Fachowcy nie od dziś ostrzegają, że liczby samochodów nie można zwiększać bez końca. Przynajmniej samochodów w ich obecnej postaci z silnikiem spalinowym zatrującym powietrze.

ELEKTRYCZNY? GAZOWY?

Wśród wielkiej już rodziny tych samochodów (próbują je Japonia i ZSRR, Czechosłowacja i NRF, Anglia i NRD) duży rozgłos zdobył ostatnio mały trój kolorowy wózek bez nadwozia, na baterie ołowiane, eksponowany na ostatnim paryskim salonie samochodowym. Nie wydziela spalin, jest cichy i nie sprawia wkłopotów w eksploatacji. Podobno można nauczyć się nim jeździć dosłownie w kilkanaście minut, nie ma bowiem żadnych urządzeń konwencjonalnych, a jedynie drążek typu lotniczego służący do uruchamiania, kierowania i zatrzymywania pojazdu. Na razie ten pojazd, rozwijający szybkość do 25 km/godz. przeznaczony jest do transportu wewnętrznego w zakładach przemysłowych, ale zawiązało się już duże towarzystwo do produkowania go w dużych ilościach i wprowadzenia do szerszej eksploatacji.

Z inną rewelacją wystąpił ostatnio Japończyk. Zapowiadają mianowicie, że już w przyszłym roku uruchomią seryjną produkcję samochodów z silnikiem wirnikowym napędzanym rozprężającym się freonem. Zasada działania takiego silnika polega na tym, że freon — gaz o niskiej temperaturze wrzenia — podgrzewany w zamkniętym układzie palnikami, po odparowaniu wytwarza duże ciśnienie poruszające wirnik silnika, a następnie skrapla się i powraca do zbiornika freonu. Obok wielu zalet rozwiązanie to charakteryzuje się minimalną ilością składników toksycznych.

Z KOŁEM ZAMACHOWYM

Konstruktorzy samochodowi zwracają też uwagę na możliwość wykorzystania starej zasady koła zamachowego, czyli magazynowania energii mechanicznej. Idea ta odżyła zapewne dlatego, że współczesna technika zna już takie materiały, które wytrzymują ogromne prędkości o-

brotowe — od czego zależy ilość energii, którą można zmagazynować. Jak więc konkretnie ma wyglądać samochód oparty na tej zasadzie? Otóż samochód taki będzie miał (w kuftrze) koło zamachowe, obracające się w szczelnym korpusie, opróżnionym z powietrza, z zawrotną prędkością 23 700 obrotów na minutę. Tak wielką prędkość obrotową koła zapewnia jazdę bez przerw na dystansie 180 km z prędkością 90 km/godz. Po wyczerpaniu się energii wystarczy nieco ponad 20 minut, aby na nowo „rozkręcić” koło do wymaganej prędkości obrotowej. W samochodzie, który na razie istnieje tylko na papierze (jak twierdzą fachowcy jest całkowicie realny) zastępuje się energię elektryczną.

DMUCHANIE NA SZYBĘ

Jak donosi prasa fachowa znana firma Daimler-Benz dokonała pomysłnych prób z urządzeniem chroniącym przednią szybę pedałowego samochodu przed błotem, owadami itp. Urządzeniem tym jest dmuchawa ustawiona pod odpowiednim kątem przed szybą wozu i dysza, z której powietrze wypływa ze znaczną prędkością — 55 metrów na sekundę.

Ubocznym skutkiem działania całego zestawu jest, jak to wykazały testy modelowe, znaczne zmniejszenie współczynnika oporu powietrza. Blisko 30 procentowy spadek tego współczynnika ma, zdaniem twórców urządzenia kompensować wydatek energii na pracę dmuchawy.

MIESZANKA WODY Z BENZYNĄ

Australijski wynalazca Leslie Podhaczky pracuje nad metodą, która ma zmniejszyć prawie o połowę zużycie benzyny przez samochody. Skonstruował on rozpylacz, który wstrzykuje w gaźnik mieszanke rozpylonej wody i powietrza.

Podhaczky twierdzi, że woda zastępuje 45 proc. benzyny, która zresztą w konwencjonalnym postępowaniu jest niewykorzystana i ulatnia się z wyciechem. Oprócz tego ma być zmniejszone o 98 proc. wydzielanie się trującego gazu — tlenku węgla, zaś silnik ma pozostać czysty. Ponad 100 rozpylaczy Podhaczky'ego wyprodukowały obecnie kierowcy z Melbourne.

POMYSŁ WĘGIERSKI

Cztery węgierscy inżynierowie: I. Farkas, J. Gabriel, I. Laszlo i dr L. Toth dokonali wynalazku, rozwiązując radykalnie jeden z najstarszych problemów automobilizmu. Skonstruowali oni mianowicie specjalne urządzenie, pozwalające na natychmiastowe uruchomienie silnika samochodowego nawet przy mrozie dochodzącym do 40 stopni.

Wynalazek węgierskich inżynierów jest niezwykle prosty i polega na zainstalowaniu do normalnego akumulatora samochodowego innego, nieco mniejszego, który nie jest obciążony pracą startera. Właśnie z tego mniejszego akumulatora prąd przechodzi bezpośrednio na świecę, które dają mocną iskrę, zapalającą mieszankę. Dzięki temu silnik rusza natychmiast po włączeniu stacyjki.

Wielkie firmy samochodowe okazały ogromne zainteresowanie tym prostym wynalazkiem, zaś niektóre wyraziły gotowość zakupu go.



Ulubione miejsce spacerów w parku wilanowskim. Posąg Herkulesa — rzeźba z pierwszej połowy XVIII wieku



Sfinks sprzed 200 lat. Artysta wyrzeźbił go z głową kobiety i umieścił na balustradzie tarasu pałacowego, skąd turyści mogą spoglądać w głąb parku wilanowskiego

Na ogólną liczbę 36 tysięcy zarejestrowanych w Polsce zabytków architektury — 52 należą do tzw. klasy zerowej, czyli najwyższej w skali światowej, oznaczanej w przewodnikach turystycznych trzema gwiazdkami. Jedną z czołowych w tej klasie pozycji stanowi zespół pałacowo-ogrodowy w Wilanowie pod Warszawą. O Wilanowie wie niemal wszystko każdy warszawiak i to począwszy od sztabaka z klasy pierwszej: że wybudował go król Sobieski, co to Turków pod Wiedniem pobił, że mieszkał tam z królową Marysięnką, że w pałacu zostawił dużo do oglądania, że ogród jest bardzo piękny i ma „prawdziwą” chińską altanę. Ta mini-wiedza o Wilanowie świadczy co prawda o wielkiej popularności tej istotnie wspaniałej rezydencji, w której władze PRL podejmują niekiedy goszczących w Polsce wybitnych mężów stanu (mieszkał tam również generał de Gaulle), natomiast mało się wie o ogromie pracy włożonej w odrestaurowanie pałacu i urządzenie na nowo ogrodu po długich latach wojennej dewastacji i spustoszeń dokonanych przez hitlerowskich okupantów.

Jeszcze o pałacu, który zwiedza przeciętnie 1000 osób dziennie, informują w sposób bardzo ciekawy przewodnicy, rekrutujący się przeważnie spośród młodych historyków sztuki, ale np. sobotnia i niedzielna publiczność, licznie przybywająca do Wilanowa i spacerująca po ogrodzie, nie zdaje sobie sprawy z tego, że w alejach ogrodowych kroczy szlakiem trzystu lat, w którym to czasie zmieniali się gospodarze wilanowskiej rezydencji, zmieniali się architekci i ogrodnicy, a także style i zwyczaje.

Król Jan III, twórca i główny inicjator królewskiej siedziby, nabywszy wieś Milanów w roku 1677 i zmieniając jej nazwę na Wilanów, zastrzegł się wobec swoich budowniczych, że „pałac w murach dopiero poczęty, chce dla wygody swej urzędzić, a także inne budynki wystawić i ogród założyć”. Stworzył też pałac z ogrodem będące udanym połączeniem ziemiańskiego sarmatyzmu z pełnym wdziękiem francusko-włoskim barokiem, nie bez wpływu swej francuskiej małżonki. Lubował się też królewski gospodarz w rozmaitych ogrodowych „niespodziankach”. Oto jak opisuje przybyły z Paryża l'abbé F. de S.; „po obu stronach głównej terrasy w ogrodzie stoją dwa małe pawilony w kształcie latarni. W lecie król udaje się do nich, aby się ubrać, a zarazem widzi wszystkich — również i panie — w ogrodzie, sam nie będąc widzianym przez nikogo”.

Kolejni po Sobieskim władcy Wilanowa — kasztelanowa Sieniawska, król August II Sas, Lubomirscy, Potoccy i wreszcie aż do 1945 roku Branicy, kiedy to pałac i ogród przeszły pod zarządek Muzeum Narodowego,

zmieniali je według swoich upodobań i panującej mody, ale już na początku naszego stulecia cały ten zabytek i tak cenny dla polskiej kultury zespół zaczął się chylić do upadku, który został spotęgowany latami I wojny światowej, a już II wojna i okupacja zagroziły Wilanowowi kompletną ruiną.

Stało się inaczej. W sezonie letnim trzeba na kilka tygodni naprzód zamawiać terminy zwiedzania dla wycieczek. Ogród wilanowski jest na nowo pełen czaru i historii, zaklętej w rzeźby, monumenty, mostki, fontanny i altany. Zawdzięczamy to polityce kulturalnej naszego państwa oraz naszym architektom, dekoratorom i historykom sztuki, którzy przez 15 lat pracowali po wojnie nad wiernym odtworzeniem pałacowego zaplecza, a więc zacisznych, cienistych alejek, po których wedle miejscowych opowieści „sam król Jan do stawu z królową Marysięnką chadzał”; on też miał „własnoręcznie” sadzić dęby, płatany i kasztany na drogach prowadzących do Wilanowa.

Odrzućmy jednak legendarny wątek, choćby był nie wiem jak romantyczny, i spojrzmy na Wilanów oczami turysty, który go dziś zwiedza. Część centralna z czasów Sobieskiego zachowała zasadnicze elementy układu barokowego, w innych partiach nastąpiły zmiany i usunięto ostatnie ślady wojennych zniszczeń. Posadzono kilkaset drzew i kilka tysięcy krzewów, sprowadzono 22 posągi mitologiczne, aby uzupełnić ubytek, wszystkie inne elementy rzeźbiarskie i dekoracyjne poddano troskliwej konserwacji. W dawnej oranżerii urządzono galerię rzeźby, a na przylegającym do niej terenie — wystawę rzeźby polskiej. Odnowiono wszystkie znajdujące się w ogrodzie budynki, m. in. słynną „chińską altanę” z XVIII wieku, chętnie odwiedzaną przez młodzież. Jednym z ostatnich obiektów nowej architektury ogrodowej jest Muzeum Plakatu, umieszczone w przebudowanej na ten cel rozległej ujeżdżalni królewskiej.

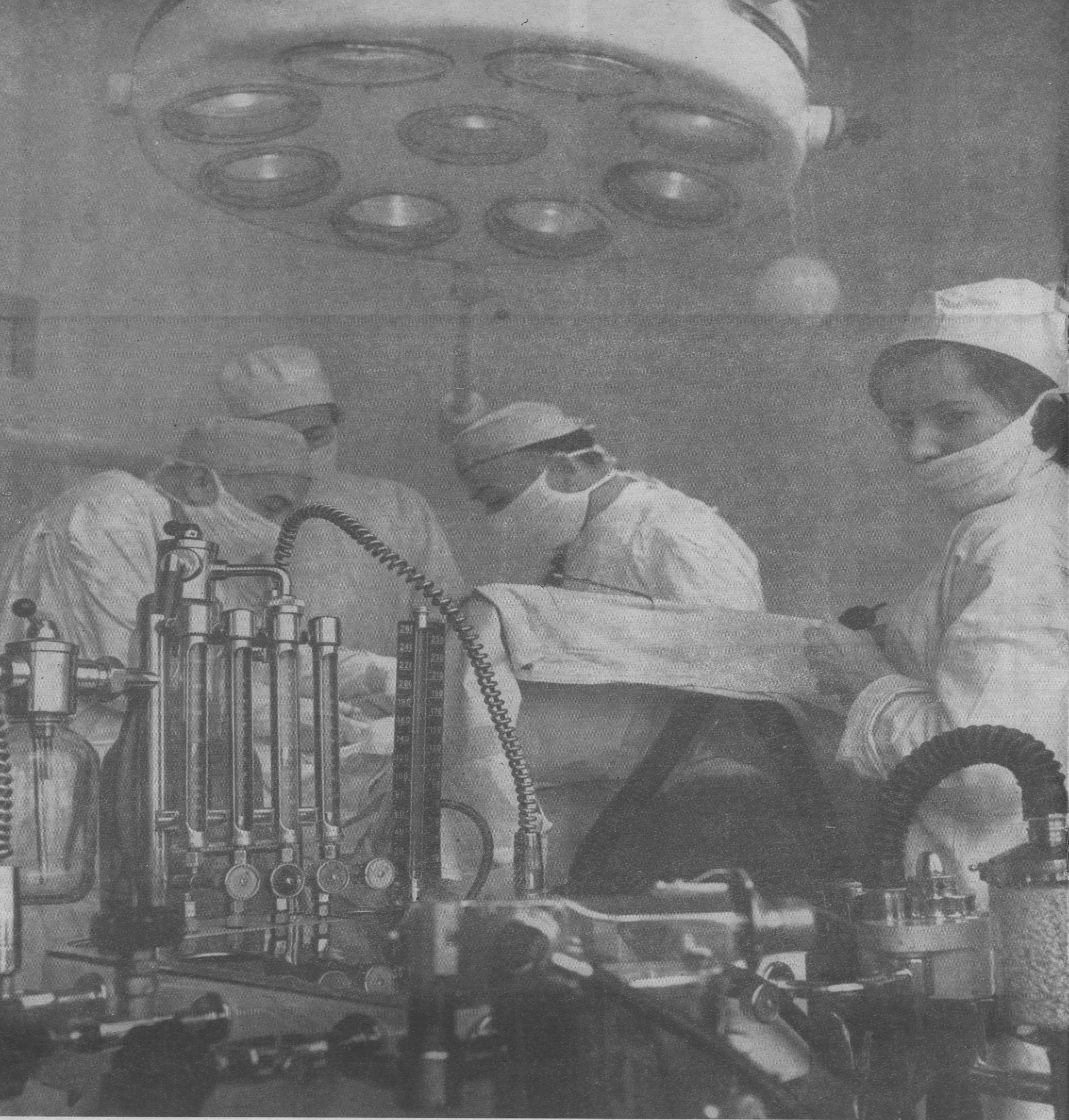
Już wkrótce czynne będą wszystkie ogrodowe fontanny, zakończy się budowę kaskady, przez potoczek przerzucony będzie mostek, aby ułatwić spacer po parku.

Tylko część gastronomiczną, mimo tradycyjnej sarmackiej gościnności, z której słynął zresztą dwór Sobieskich, postanowiono ułożyć poza obrębem parku. Turyści mają do wyboru: albo napić się kawy w „Hetmańskiej”, uroczym domu Lanciego z XVIII w., albo spożyć obiad w stylowym wnętrzu „Królewskiej Kuźni”. To tylko na razie, bo oba lokale są niewielkie. Ale już kończy się budowa historycznej karczmy i to na jej dawnym miejscu z XVII stulecia. Ma tam być, podobno, nowoczesny komfort i staropolska kuchnia, a jako stała potrawa — świetne „zrazy à la Sobieski”. Spróbujemy — po otwarciu!

L. M.

Barokowe amorki na balustradzie tarasu są dziełem rzeźbiarza Hofmana; przywędrował do Polski z Saksonii w pocz. XVIII wieku i tu pozostał





KIEDY CHIRURG RATU

P

ACJENTÓW oddziałów chirurgicznych można podzielić na dwie zasadnicze grupy. Pierwszą stanowią ci, u których utajona choroba nagle i nieoczekiwanie eksploduje lub ci, którzy ulegną tragicznemu wypadkowi. I tylko szybka interwencja chirurga może i najczęściej ratuje życie. Drugą grupę stanowią ci, u których wyczerpano już wszystkie możliwości leczenia zachowawczego i farmakologicznego, a jedyną szansą ocalenia lub przedłużenia życia jest to, co brzmi bardzo statycznie — zabieg chirurgiczny.

Ten właśnie rodzaj zabiegu jest najsilniejszym przeżyciem zarówno dla chorego jak i dla chirurga. Dlaczego? Chorego, który uległ nagłemu wypadkowi, nikt nie pyta o zgodę na zabieg. Diagnozę ustala samo życie, a ściślej mówiąc — nieszczęście, a poza tym jest on najczęściej nieprzytomny i tylko szybka pomoc chirurga decyduje o życiu.

Zupełnie inaczej przebiega proces psychologicznego „dojrzwania” do operacji zarówno chorego jak i lekarza, po wyczerpaniu wszystkich dostępnych metod leczenia. Chory najczęściej jest załamany. Nic w tym dziwnego. W tej grze stawka jest jego życia. A chirurg? Chirurg, podejmując decyzję operacji, ponosi ryzyko zabiegu i odpowiedzialność za życie chorego.

*
Tej kobiecie z czarnymi włosami nie pomogły już żadne leki. Nasilające się od paru miesięcy w okolicy brzucha bóle uniemożliwiały pracę. Traciła siły, mizerniała. Rósł jedynie brzuch... choć nie była to ciąża. Każdy dzień przybliżał kres życia. W tej sytuacji jedyną szansą ratunku była operacja. Podjęli się jej wykonania lekarze I Kliniki Położnictwa i Chorób Kobięcych Akademii Medycznej we Wrocławiu, kierowanej przez prof. dr Kazimierza Nowosada.

*
Był zimowy, słoneczny ranek.
— Czy miałby być ostatnim dniem mojego życia? — myślała z rozpaczą 39-letnia Anna Z., kiedy wieszono ją na operację. — Nie, nie. Ja chcę żyć!
Potem nie było już czasu na myślenie. Wyłączyła je atmosfera sali operacyjnej, przygotowania do zabiegu. Jaki dziwny jest ten stół! Pochyliły, ruchomy. Ktoś ukuł ją w rękę. Trochę zabolalo i za chwilę ogarnęła ją obezwładniająca, dobrotliwa senna...
W tym samym czasie chirurg w sali przedoperacyjnej mył ręce. Mycie to trwało 15 minut. Najpierw jedną szczotką, potem drugą. Tak umyty wchodzi na salę operacyjną. Ktoś w milczeniu nakłada mu zielonkawy fartuch, na twarzy umieszcza maskę związaną z tyłu.

— Rękawiczki! Spirytus! — padają pozornie oderwane słowa.
Za chwilę staje przy stole operacyjnym na swoim miejscu. Wcześniej zajęli swoje asystenci. U węzłowi chorej anestezjolog rytmicznie naciska balon gumowy, który oddycha za chorą. Krew wolno kapie do żyły. „Maszyniści” czuwają nad aparaturą. Chorą przykryto prześcieradłem. Chirurg pochyla głowę nad odsłoniętym polem operacyjnym. Na twarzy widoczne napięcie. Chwila bezruchu, jakby przyczajenia. Wreszcie niemal błyskawicznym ruchem przecina powłoki brzucha. Biała jak śnieg podściółka tłuszczu najpierw lekko różowieje, a później staje się czerwona. Krew. Jest jej coraz więcej. Ktoś podaje jeden za drugim kłębuszki gazy. Krwawienie zmniejsza się, prawie ustaje. Pielęgniarka w milczeniu podaje chirurgowi narzędzia. Bez słów odgaduje, co mu potrzebne. Bacznie obserwuje każdy ruch. Musi być bardzo doświadczona.

Po pewnym czasie wyłania się częściowo obnażony guz. Jest jeszcze przyrośnięty. Zrosty te trzeba poprzecinać skalpelem lub nożyczkami. Krwawiące naczynia podwiązać lub koagulować prądem elektrycznym. Uwalnianie guza od otoczenia jest bardzo trudne, wymaga ogromnej precyzji. Wreszcie moment najważniejszy (w odczuciu obserwatora) — guz znajduje się na tak zwanym korkociągu, zręczny manewr i już jest wyosobniony! Chirurg trzyma w dłoniach mięśniakowatą macicę, która przekształciła się w ów ogromny guz. Później wszystko robi się tutaj automatycznie. Ale tylko pozornie. Kiedy chirurg przystępuje do operacji, w głowie, jak to się mówi potocznie, ma skomplikowany plan zabiegu z różnymi wariantami i plan ten realizuje etap za etapem, automatycznie przyswojonymi ruchami. A przecież te ruchy nie są niczym innym jak realizacją jego myśli.

Bez mała trzygodzinną operację zakończyła ostatnia czynność — szycie. Czas ten wydawał się potwornie długi, nawet obserwatorowi, rejestrującemu w pamięci zmagania zespołu specjalistów z patologicznym tworem ustroju ludzkiego.

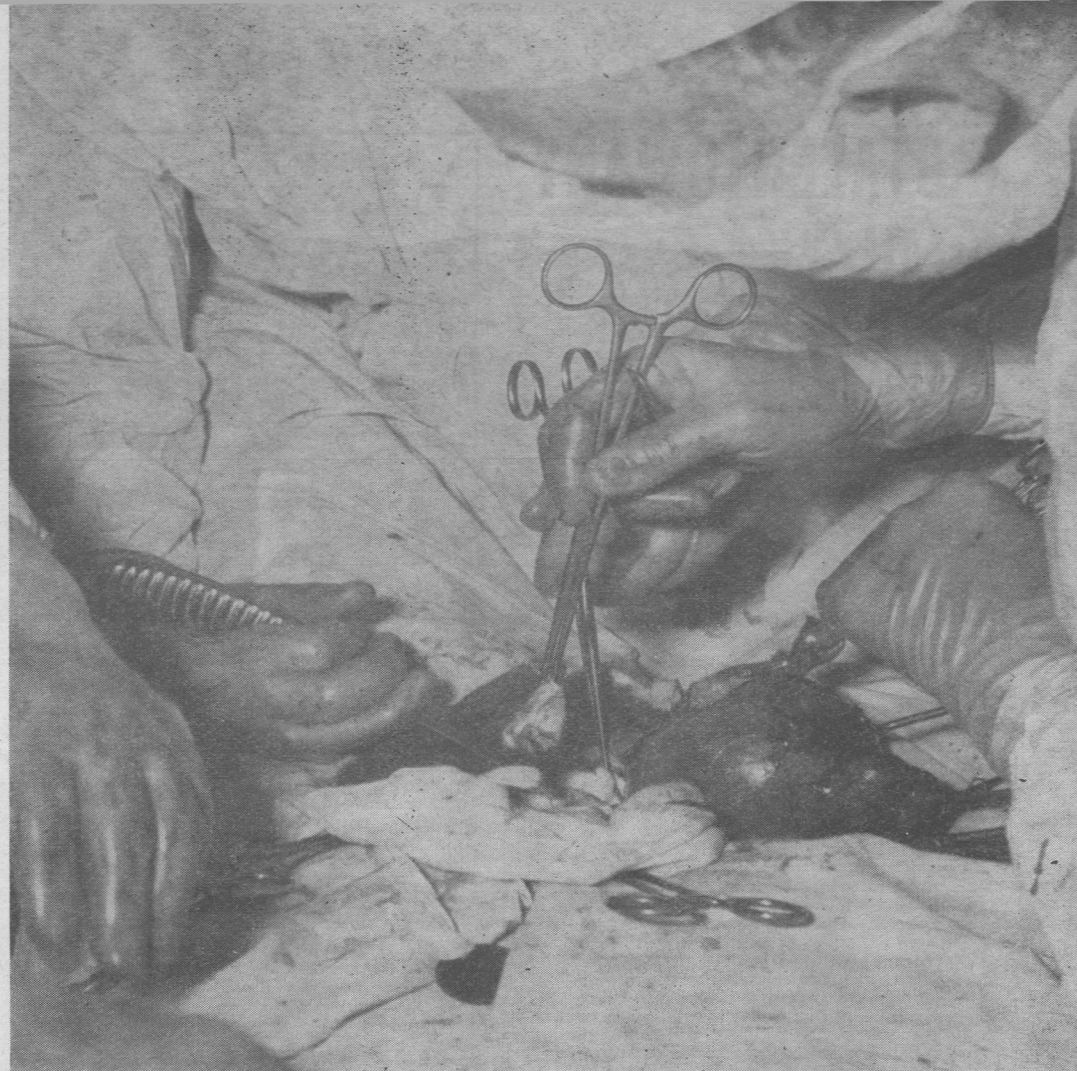
Chirurg opuszcza salę. Jest bardzo zmęczony. Chwila odpoczynku na fotelu w gabinecie. Podobno prawie każdy z nich po takich emocjach traci na wadze przeciętnie około 1/2 kilograma.

Trzeba jeszcze napisać protokół operacji — mówi profesor do wchodzącego asystenta. Spieszmy się. Czasu mało. Zaraz następny zabieg.

*
Nowy epizod zmagania człowieka z potęgą choroby, człowieka, który nieustannie zgłębia jej tajemniki, aby w podobnym trudzie, dzień za dniem wydzierać śmierci jakieś zagrożone życie ludzkie.

Tę kobietę właśnie uratowano.

Tekst: Izabella SZENKOWA
Zdjęcia: Ryszard DUTKIEWICZ



...Wyłania się częściowo obnażony guz. Jest jeszcze przyrośnięty. Zrosty te trzeba poprzecinać skalpelem lub nożyczkami.. Robią to niezawodne ręce chirurga

...Pielęgniarka w milczeniu podaje chirurgowi narzędzia. Bez słów odgaduje co potrzebne. Bacznie obserwuje każdy ruch. Musi być bardzo doświadczona...



...„Maszyniści” czuwają nad aparaturą. Chorą przykryta prześcieradłem. Chirurg pochyla głowę nad odsłoniętym polem operacyjnym. Na twarzy widoczne napięcie... Chwila bezruchu, jakby przyczajenia... Skupienie pomaga



...Chirurg trzyma w dłoniach mięśniakowatą macicę, która przekształciła się w ów ogromny guz. Jego usunięcie z macicy kobiety jest jeśli nie gwarancją, to wielką szansą życia...

JE ŻYCIEM...



Le prof. Grosclaude durant l'allocution qu'il prononça...



...dans la belle salle du Sénat du palais Kazimierzowski de l'Université de Varsovie

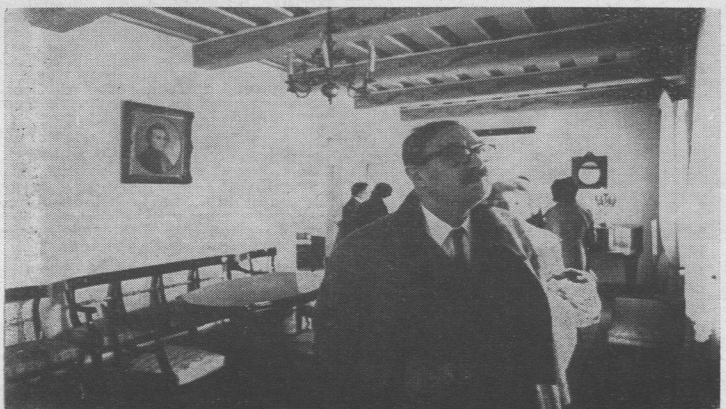
Un séjour de professeurs

TROIS PETITS TOURS EN POLOGNE



Les professeurs échangent ensuite quelques propos...

Dans la ravissante maison familiale de Frédéric Chopin...



Une promenade dans le parc de Zelazowa Wola où s'aventurait un printemps tout neuf...



Le lendemain matin l'envol. Le retour à Paris après dix jours passés en Pologne durant le congé pascal.

Les derniers accords de l'opéra de Momiuzko „Le Manoir hanté”, éteints, les vingt deux professeurs français s'empressent de regagner l'hôtel: un flash de leur visite de la veille à l'Université de Varsovie où ils furent reçus par le prorecteur, le prof. Kupiszewicz, doit passer au journal télévisé de la soirée. Le speaker parle, les nouvelles défilent, de réception à l'université, point. Le photographe de la „Semaine Polonaise” était présent, rien n'est perdu (les photos en haut de page, sous le titre, le prof. Grosclaude en conversation avec les prof. Vencelusz et Waldemar). Mais un cri de triomphe, enfin! Le commentaire est inaudible car chacun se cherche, trouve autrui, lance les exclamations. C'est fini, ce fut bien drôle de se voir sur le petit écran, et les dignes professeurs en vacances regagnent leur chambre.

Le professeur Pierre Grosclaude, l'organisateur de ce voyage, ne craint l'heure tardive. Il accompagne son épouse jusqu'à leur chambre, puis nous gagnons la salle du dancing où un aimable maître d'hôtel nous arrange une table tranquille loin de l'orchestre tapageur. M. Grosclaude fait partie de la présidence de l'Association France-Pologne et de l'Association Oder-Neisse. Il effectua déjà plusieurs voyages en Pologne et il y revient toujours avec bien du plaisir. Le séjour fut classique: Varsovie et Zelazowa Wola, Cracovie, avec une réception à l'Université Jagellonne, Nowa Huta, le combinat industriel ensuite. Puis le recueillement et la profonde émotion ressentie au camp d'Auschwitz, Wrocław, réception à l'université, l'opéra, les rencontres bien sûr, toujours chaleureuses. Avant de retrouver Varsovie, un arrêt à Łódź où les professeurs eurent connaissance d'un autre fait tragique de la dernière guerre: plusieurs centaines de prisonniers politiques enfermés dans la prison de Radogoszcz, située dans la banlieue de Łódź, périrent brûlés vifs en janvier 1945, après que les hitlériens eurent mis le feu à la prison. Varsovie de nouveau, dans un frais soleil printanier.

M. Grosclaude en répond, le voyage a été très favorablement accueilli par ses compagnons, curieux de vérifier les connaissances qu'ils avaient de la Pologne; car si la plupart visitaient ce pays pour la première fois, ils le connaissaient tous „au figuré” pourrait-on dire. „Nous aurions eu beaucoup plus de monde au mois de juin, assure le professeur, l'avant-printemps effraye quelque peu, le soleil n'est

pas toujours de la partie et les journées sont encore fraîches, la prochaine fois il faudra veiller à une autre date”. Ces considérations générales sur le thermomètre n'ont en rien entamé l'impression générale des participants qui ont tous été frappés par les deux tendances évidentes partout: l'une tournée vers l'avenir, d'ordre industriel et technique, l'autre profondément attachée au passé, les deux formant un tout harmonieux. M. Grosclaude ne manqua pas de souligner ce trait caractéristique lors de son discours à l'Université de Varsovie. La dernière journée du séjour comprenait un temps libre et M. Grosclaude en profita pour flâner dans la Vieille Ville et la faubourg de Cracovie, qu'il adore et retrouve toujours avec un profond plaisir.

Un des piliers de l'amitié-franco-polonaise, quels furent donc les chemins qui menèrent M. Pierre Grosclaude à déployer une telle activité au renforcement des liens unissant les deux peuples? Avant la guerre, il fut professeur au lycée Ampère de Lyon, puis chargé de cours à la Faculté des lettres. En 1937, il vient pour la première fois en Pologne donner des conférences à l'Université Jagellonne, il visita alors Gdynia, ville portuaire toute neuve. Vint la guerre. Pendant une année, il est prisonnier en Allemagne, il aura alors de nombreux contacts avec des Polonais. Il réussit à regagner la France et entre dans la résistance. La libération venue, c'est tout naturellement qu'il se joint à Peuples-Amis, association d'amitié franco-polonaise fondée par Frédéric Joliot-Curie. Il travaillera aussi à défendre inlassablement la frontière occidentale de la Pologne au sein de l'Association Oder-Neisse. A ce propos, M. Grosclaude tient à rappeler que l'association ne sera pas dissoute tant qu'il n'y aura pas eu ratification, par le Bundestag, du traité signé entre la Pologne et la République fédérale allemande.

Les douze coups de minuit ont sonné depuis longtemps. Dans le jour naissant, à bord d'un avion de la Lot, les vingt deux professeurs français ont quitté la Pologne.

W. NOWAKOWSKA

Fot. W. OCHNIO

Un arrêt devant une plaque commémorative



En feuilletant... ...les periodiques

litteraires parisiens

Tadeusz Borowski, qui se donna la mort en 1951 à l'âge de vingt-neuf ans, était le plus doué des jeunes écrivains polonais de l'après-guerre. Composée surtout de récits — Borowski excellait dans ce genre concis — son œuvre est centrée sur les camps d'extermination nazis et la contamination de la conscience des détenus par la bestialité de leurs bourreaux. Un de ses recueils de nouvelles — „Le Monde de pierre” — a paru en 1964 chez Calmann-Lévy dans la traduction d'Eric Veaux. Un critique français avait alors comparé Borowski à Rimbaud.

Dernièrement, une des nouvelles de Borowski — „Bitwa pod Grunwaldem” („La Bataille de Grunwald”) — a inspiré le cinéaste polonais Andrzej Wajda, qui en a tiré un film intitulé „Krajobraz po bitwie” („Paysage après la bataille”). Ce film décrit les premiers jours de liberté dans un camp de concentration allemand, en 1945. Il passe actuellement dans deux cinémas parisiens, le „Panthéon” et le „Studio-Républicain”. Le romancier Jean-Louis Curtis, qui tient avec Georges Charensol la chronique cinématographique dans „Les Nouvelles Littéraires”, vient d'en rendre compte dans cet hebdomadaire. „Le registre de Wajda est celui d'une vérité sans complaisance — écrit-il notamment. — Mais cette vérité est ressentie et communiquée par un cinéaste qui est aussi un poète (...) On peut dire que presque chaque plan

de «Paysage après la bataille» est admirable”. Et: „Qu'il traite de grands ou de petits sujets, le cinéma venu de l'Est nous donne presque toujours une leçon de dignité artistique” — conclut-il.

Dans le même numéro des „Nouvelles Littéraires”, le critique d'art J.-J. Lévêque parle du peintre polonais Jean Kwiatkowski, qui vient de mourir et qui était considéré comme un des plus remarquables artistes naifs de notre temps.

Jean Kwiatkowski naquit en Pologne en 1888. Avant la première guerre mondiale, les autorités tsaristes le déportèrent en Sibérie, d'où il s'évada pour émigrer en France. En 1914, il s'engagea dans l'armée française. Après la guerre, il créa des tissus et des modèles pour Worth, Patou et Bianchini-Férier et devint, de ce fait, avec le peintre Raoul Dufy, un des créateurs de la mode de l'époque.

„Ses tableaux sont le reflet d'une personnalité toujours prête à s'émerveiller — dit J.-J. Lévêque. — (...) On y suit les rêves d'un homme qui avait la simplicité du cœur, la fraîcheur de l'âme, par quoi se distingue une certaine peinture que, faute d'appellation plus appropriée, on a baptisée naïve, mais qui se distingue moins par ses imperfections par rapport aux canons académiques que par une certaine invention personnelle de la réalité”.

BIURO
PODRÓŻY

TRANSTOURS

Oficjalny przedstawiciel „ORBIS” licencja 132

49, avenue de l'Opéra — PARIS II-ème tél: 742-47-39
Przedstawicielstwo w LILLE: 53, rue des Arts
Mme Janina ZUWAL tél: 53-18-66

ORGANIZUJE WYJAZDY
DO
WSZYSTKICH MIAST W POLSCE

Pociągami bezpośrednimi
bez żadnych przesiadek

TRANSTOURS

- Złatwia wszelkie formalności paszportowe i wizowe dla wyjeżdżających koleją, samochodem lub samolotem,
- wystawia bony „ORBIS” wymienne w Polsce na złote,
- przekazuje pieniądze do Polski po bardzo korzystnej relacji,
- sprowadza krewnych z Polski do Francji na urlop,
- wystawia bilety kolejowe, lotnicze i okrętowe po cenach oficjalnych ze zniżkami „Congés Payés”, „Famille Nombreuse”, etc...
- bilety turystyczne po cenach zniżkowych na przelot samolotem.

zgłoszenia i zapisy przyjmuje TRANSTOURS
oraz nasi korespondenci terenowi



88

PIGULARZ

Młodzi ludzie usadowili się na kanapie, Wila pośrodku, Posner z Turkowskim po bokach. Matka zaś podreptała za parawan i zajęła się przyrządzaniem herbaty.

Władysław był onieśmielony pięknoscią Wili, a bardziej jeszcze jej pewnością siebie. Posner pierwszy przerwał milczenie.

— No — zaczął wesoło — jak się pani podoba ten pasażer? Co?! Pocziwają ma gębę!... Turek... dawajcie pyska!

— Panie... Stanisławie! Fe!... Wie pan, ale doprawdy ja już pana znam... z widzenia... pokazywano mi pana na ulicy! Szedł pan, zdaje się, z młodym Pawelkiewiczem, kancelistą z powiatu...

— Być może — wyjąkał Władysław.

— Czekajcie, Turek... a teraz... jak wam się podoba panna Wila?!

— Co pan wygaduje! Pan Turkowski przez grzeczność...

Władysław poczerwieniał.

— Nie, słowo daję... jak Bożę kocham... nie myślałem...

— Takie straszdyło zobaczyć! — dokończyła pośpiesznie Wila.

Puer stracił nagle wątek myśli.

— Gdzie tam! Ja... słowo daję!...

— Rozumiem! Nie chce pan być szczerym. Ho, ho! Pan przecież z Warszawy... a warszawianki, powiadają, najładniejsze...

— Najładniejsze? Nie zauważyłem...

— Ach! Jak ja bym chciała być w Warszawie! Niech sobie pan wyobrazi, że nie byłam jeszcze ani razu w Warszawie! Znam Łódź, Piotrków, Zgierz... Tomaszów, Białą, Brzeziny... to i wszystko! A tak mnie już Rawa obrzydła, że pół życia bym oddała...

— Ech, panno Wilo! — wtrącił ochoczo Posner. — Przecież to się musi skończyć... o, i ja za nic bym siedzieć w Rawie nie chcia!

Wila się skrzywiła ironicznie.

— Zapewne! Ładnie bym wyglądała... gdybym czekać miała na takiego towarzysza podróży! Gdzie jest przyobiecany eliksir do zębów?!...

— Naciąga, panno Wilo, niech mnie połamię, że jeszcze naciąga.

Wila pokręciła głową.

— To możliwe... tylko prawdopodobnie pan jest tym eliksirem.

(c.d.n.)

PIGULARZ

85

Radca Podciupski zamówił się na chinę i nadużywszy jej, wręcz oświadczył, że Wielicki jest gałgan, bo mu atramentu jakiegoś miast malagi sprzedał, że ten mięsipiguła chciał jego, radcę, zrobić szpiegiem czy plotkarzem i że... bodaj mu w karaku trzasło!...

Tankenberga zaś przyszedł do Turkowskiego i powtórzył mu słowo w słowo prośbę Wielickiego, zaznaczając, że chyla tyła cymbał jest, i koniec.

Władysława ubodła ta nieufność. Bo i o cóż Wielickiemu szło?... Wszak żaden z tych kontrolerów o farmacji wyobrażenia nie miał. Więc nie bał się o porządną ekspedycję... ale pewno... o kasę! O to, by nie nadużył jego dobrej wiary! Ładna wiara! Co prawda Wielicki nieszczególny zrobił wybór. Wolanowicz, po energicznym znalezieniu się puera, więcej się w aptece nie pokazywał. Podciupski wstępował, lecz tylko na chinę, a Tankenberg był w bardzo serdecznym stosunku przyjaźni z Władysławem.

Dziwny to człowiek był ten Tankenberg! Niegdyś oficer huzarów... a teraz kancelista w magistracie, z pensją piętnastu rubli miesięcznie i z nadzieją otrzymania lepszej posady... od lat dwunastu. Tankenberg był to człowiek cichy, skromny, nawet potulny. Cieszył się ogólną sympatią, lubili go wszyscy, każdy bolał nad człowiekiem inteligentnym, władającym językami, a skazanym na nędzę... wraz z żoną i trojgiem dzieci. Każdy niby to starał się mu dopomóc... ale było to raczej sprawdzeniem przysłówia o psach, które zającą zjadły wśród najlepszych przyjaciół. W magistracie miał Tankenberg bardzo wiele do roboty, był bowiem w kasie razem z Wolanowiczem, człowiekiem ciemnym, ograniczonym i nie mającym wyobrażenia o urzędowaniu.

Ów Wolanowicz nie wiadomo skąd spadł na wyboisty bruk Rawy. Ongi łyk warszawski, rządca domu, wyrósł nagle na kasjera magistratu.

Pomimo różnicy wieku Władysław przyłgnał do Tankenberga. Jego spokojny flegmatyczny charakter, umysł nieskarłały wśród małomiasteczkowych plotek imponował mu, porywał, zachwycał.

Jednocześnie z sympatią dla Tankenberga wzrastała przyjaźń dla Posnera. Turkowski odbierał od niego tyle dowodów życzliwości, że coraz częściej myślał o wywdzięczeniu się. W tym celu zagadnął raz Tankenberga:

— Panie Janie... co pan myśli o Posnerze?



Na warszawskim stadionie



Wieżowce na Seianie Wschodniej
Mnich widziany od Morskiego Oka



Zimą w Dolinie Strążyskiej



PO WYMAZANIU ...CZARNE PLAMY

W sztuce istnieją zawsze dwie tendencje: powiedzieć coś nowego przy użyciu rozdrobnionych detali szczegółów, barw, słów, sytuacji — lub uprościć wszystko do możliwie ubogich środków. Wspaniałym malarzom impresjonizm potrzebna była bogata paleta, z której znakomicie korzystali, a graficy obywali się tylko czernią i bielą. Fotograficy barwnego filmu szukają odtworzenia na taśmie takich kolorów, w jakich widzieli świat niektórzy impresjoniści. Fotograficy czarno-białej błony udowadniają natomiast możliwość operowania tylko czernią, bez skali czterdziestostopniowej, od białości poprzez różne szarzysty — do czerni sadzy. Niektórzy powiadają, że taka technika zubaża możliwości obiektywu fotograficznego i pokazuje mniej niż zdolny jest on dostrzec, a reprodukowana odbitka staje się bardziej sztuką grafika niż fotografa.

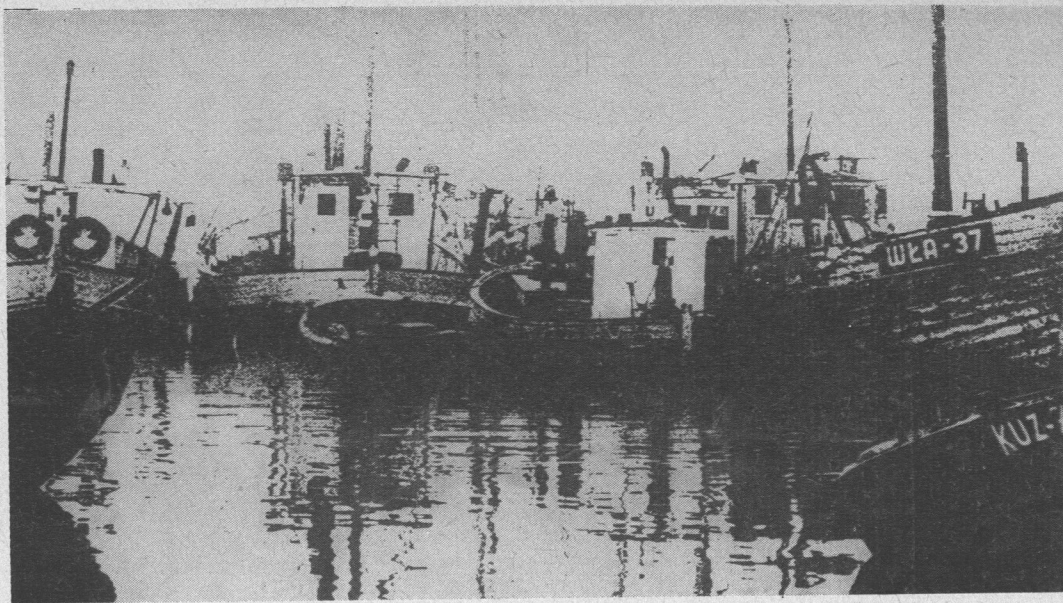
Fotosty eliminujące półtony, jak prace Lecha Charewicza pokazane na tej kolumnie, ukazują w fotograficzny sposób, jak artyści operujący tylko tuszem, cienkim pędzlem lub piórkiem, nożem do wycinania drzeworytu lub linorytu — analizują intensywność barw, sprowadzając je tylko do czerni. Charewicz uzyskał podobny wynik obiektywem swego aparatu oraz obróbką chemiczną błony i papieru. Wszystko, co szare, wymazano, zostały czarne plamy. Ludzie z parasolami na stadionie wyglądają jakby ich ktoś wyciął z czarnego papieru. Dolna panorama Warszawy — to jakby precyzyjnie wykonany sztych, a może możolny rysunek tuszem?

Lech Charewicz ur. w 1935 r. należy do powojennego pokolenia fotografików; rozpoczął zamieszczać zdjęcia przed piętnastu laty w tygodniku „Świat”, kładąc zawsze nacisk na pewien zamierzony ład plastyczny swoich fotografii, jak sam swój program artystyczny określa. Wystawiał dość dużo w kraju i za granicą na konkursach fotografii prasowej — World Press Photo, Interpress, na wystawach Fiap, ORWO i wiele innych. Czytelnicy „Tygodnika Polskiego” znają go ze zdjęć prostych w ujęciu, takich właśnie dobrze skomponowanych, jak sobie to przed naciśnięciem migawki planuje.

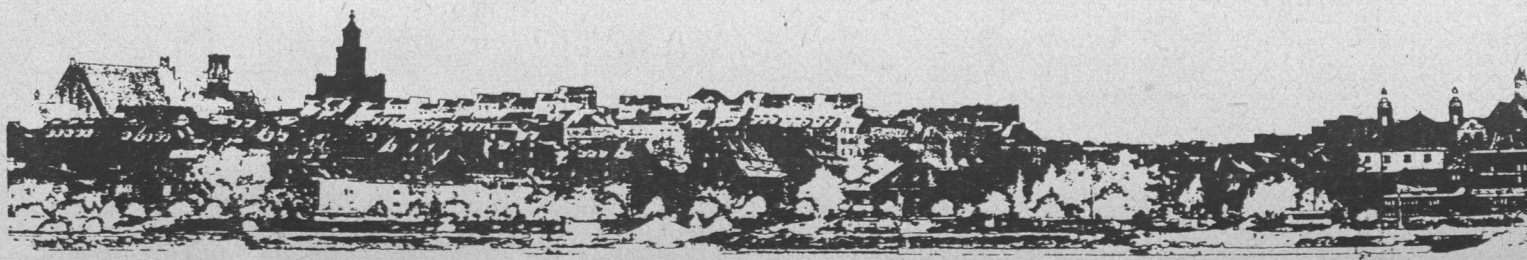


Rybak

Port Kuźnica na Helu



Panorama lewobrzeżnej Warszawy od strony Wisły



NOWY FILM POLSKI

LE dernier film d'Andrzej Wajda „Brzezina” la boulaie, est tiré d'une très belle nouvelle de Jarosław Iwaszkiewicz. L'histoire se situe dans les années trente. Staś, atteint d'un mal incurable, se rend chez son frère Bolesław forestier dans un coin perdu, avec le sentiment de sa mort prochaine. Veuf, le frère aîné vit avec sa petite fille. L'attitude nonchalante de Staś l'exaspère et il voit d'un mauvais oeil l'aventure que ce dernier connaît avec une jeune paysanne pour laquelle lui-même éprouve un penchant. Le conflit éclatera avec violence. Staś meurt, la fille épouse un autre homme et Bolesław quitte la maison forestière avec sa fille, il ne peut plus y vivre avec le voisinage des deux croix dans la boulaie...

Dans ce film, Andrzej Wajda s'est attaché à recréer l'atmosphère des paysagistes polonais du XIXe siècle. Les héros du drame évoluent dans des tableaux vivants qui s'inspirent tour à tour de Wyspiański, Malczewski et Gieryski. Les personnages et les décors forment un tout indissoluble, profondément dramatique, dans cet éternel conflit de l'amour et de la mort.



Córeczka Bolesława w żałobnych koronkach — to również jedna z wizji malarskich reżysera

„Brzezina”

OPOWIADANIE Jarosława Iwaszkiewicza — jedno z najpiękniejszych w polskiej literaturze — doczekało się godnej ekranizacji. Na jego podstawie reżyser Andrzej Wajda — artysta o świetnym rzemiośle stworzył film o urzekającej urodzie plastycznej, fascynujący w klimacie, poetycki, w nastroju, subtelny w rysunku postaci. Zasługa w tym niemała znakomitego aktorstwa Daniela Olbrychskiego, Emilii Krakowskiej i Olgierda Łukaszewicza, dużej nadziei polskiej kinematografii.

Rzecz dzieje się w latach trzydziestych. Bohaterami są dwaj bracia: starszy, Bolesław jest leśniczym i ojcem kilkuletniej córeczki, młodszy Staś, nieuleczalnie chory, przybywa do brata ze świadomością, że właśnie tutaj w leśniczówce oddalonej od świata przyjdzie mu umrzeć. Starszy — przed rokiem utracił żonę i pogrążony w żałobie z niechęcią patrzy na demonstracyjną „beztroskę” brata, na jego romans z wiejską dziewczyną... Do której sam w końcu zapala wielką namiętnością. Oto źródło konfliktu i dramatycznego finału, który nie daje na siebie czekać. Staś umrze, dziewczyna wyjdzie za mąż za innego, Bolesław wraz z córeczką opuści leśniczówkę. Będzie mieszkał gdzie indziej z dala od dwóch białych krzyży w brzezynie...

Opowieść pełna smutku, stanowiąca oryginal-

ne studium na temat śmierci i miłości, przeznaczona jest dla widza szukającego w kinie głębszych przeżyć. Urok „Brzeziny” polega jednak zupełnie na czymś innym. Jak w rzadko którym filmie konflikty ludzkie harmonizują tu nierozdzielnie ze światem przyrody, krajobrazem, otoczeniem. Chwilami nawet świat ten przesłania ludzkie sprawy. Zdjęcia pejzażu stylizowane są na obrazach XIX-wiecznych malarzy: Malczewskiego, Gieryskiego, Wyspiańskiego, z niezwykłą wiernością i pietyzmem. Jakże nastrojowy i bardzo polski jest tu krajobraz: z łąką kwitnącą żółtymi kaczęcami, lasem o smukłych białych brzozech, rośpiewanym wśród zielonych liści różnokolorowym ptactwem, jak wspaniale wizerunki dziewczyny z kosą czy kobiet przy studni „wyjęte” z płócien Jacka Malczewskiego. W takiej scenarii bohaterowie kochają, nienawidzą, cierpią i umierają w sposób tak sugestywny, że bez reszty poddajemy się pięknu opowieści. Odbieramy cały film Wajdy jako epickie przypomnienie świata, nieskażonego jeszcze cywilizacją świata, którego uroda przetrwała tylko na płótnach starych mistrzów i którego cząstkę staramy się dziś ratować od całkowitej zagłady.

Krystyna KOPROWICZ

Emilia Krakowska i Daniel Olbrychski w jednej ze scen „Brzeziny”



Olgierd Łukaszewicz odtwarza tragiczną rolę Stanisława

Starszy brat Bolesław w kreacji Daniela Olbrychskiego

